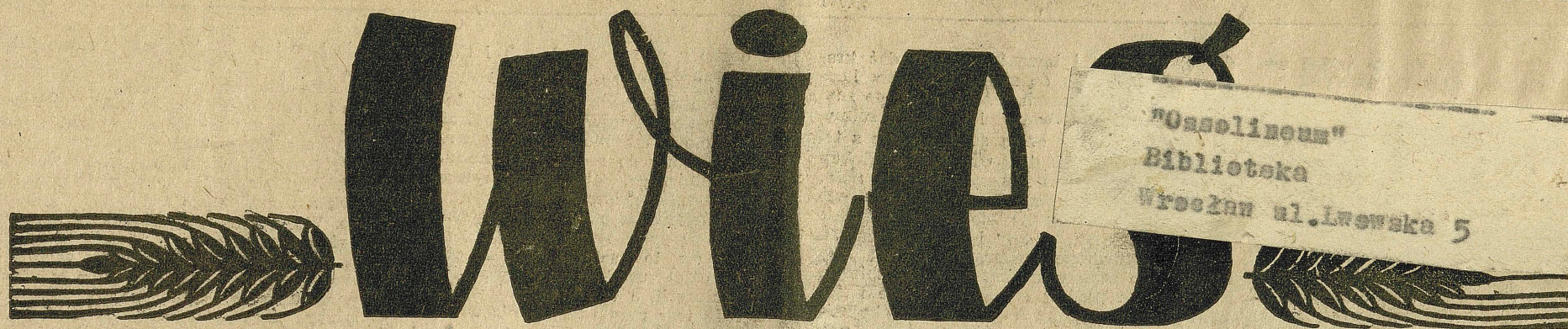




TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 10 sierpnia 1947 r.

Nr 31 (110)

Tadeusz Orlewicz

Rolnictwo angielskie przed nowymi zadaniami

W Wielkiej Brytanii ogłoszono w lutym br. przedłożenie rządowe, dotyczące sytuacji ekonomicznej tego kraju i planów na najbliższą przyszłość. Jest to pierwszy etap wprowadzenia w życie gospodarcze Anglii — gospodarki planowej jako zasady. Wszelkie bowiem dane wskazują na to, że tylko szarmonizowana i jednolicie kierowana polityka może wyprowadzić ten kraj z nadmiernych i mnożących się trudności.

Oczywiście, że specyficzne warunki ustroju politycznego i gospodarczego narzuciły specjalny charakter pierwszej oficjalnej próbie planowania ekonomicznego w Anglii. Projekty te mają wszelkie cechy planowania w ustroju kapitalistycznym. Przedłożenie rządowe odnosi się krytycznie do planowania „totalitarnego”, opartego na stosowaniu przez państwo ścisłej kontroli. Przedstawiciele rządu chętnie nazywają swój projekt próbą planowania „demokratycznego”, natomiast angielskie koła ekonomiczne widzą w tym przedłożeniu tylko charakter — pobożnych życzeń (wishful thinkings). Trzeba zważyć bowiem, że nacjonalizacja w Anglii, bez względu na jej charakter i zasięg, oraz głębokie przemiany ustrojowo-gospodarcze na świecie, każą oceniać taki typ planowania jako typ zawodny na dłuższą metę.

Przegląd sytuacji gospodarczej W. Brytanii upoważnia rząd angielski do stwierdzenia, że rozporządzalne zasoby narodowe nie tylko nie mogą być uważane za wystarczające dla podniesienia stopy życiowej Anglika, ale w istocie z trudnością wystarczają na utrzymanie jej na dotychczasowym poziomie. Zagadnienie handlu zagranicznego dla W. Brytanii w najbliższym przynajmniej okresie jest sprawą bardzo trudną. Jeżeli bowiem rozwój eksportu nie spełni postawionych przed nim celów, to obok utrwalenia się systemu zaopatrzenia reglamentowanego, obywatelom brytyjskim grozić mogą nowe ograniczenia, a nawet i poważne bezrobocie, które może powstać, jeśli Anglia nie będzie miała na płacenie za import surowców i nie będzie w stanie przeprowadzić tak bardzo nagłej modernizacji urządzeń przemysłowych. Sprawę komplikuje i to, że obecny eksport angielski nastawiony jest na potrzeby krajów odbudowujących się. Z chwilą postępującej w tych krajach odbudowy, zwłaszcza na odcinku przemysłu pła eksportowa np. maszyn lub wyrobów tekstylnych będzie się kurczyć.

W związku z tymi problemami rząd angielski postawił sobie cztery główne zadania: 1) eksport w roku bieżącym musi być o 40% wyższy niż w roku 1938, 2) eksport ma być przede wszystkim usilnie zwiększony do półkuli zachodniej i do tych państw, z którymi Anglia ma ujemny bilans handlowy i 3) ma być przeprowadzona ostra kontrola importu, pochodzącego szczególnie z zachodniej półkuli. I wreszcie czwarte zadanie, nas w tej chwili najbardziej interesuje, to postawienie na rolnictwo, jako na czynnik, który w dużym stopniu powinien przyczynić się do złagodzenia trudności eksportowo-importowych W. Brytanii.

Jeszcze w pierwszej połowie 1945 roku Ministerstwo Wyżywienia i Rolnictwa poleciło przeprowadzenie badań, mających wykazać, w jakim stopniu rolnictwo angielskie może przyczynić się do zmniejszenia importu drogich artykułów żywnościowych, które mogłyby być produkowane w kraju w ilości odpowiedniej do potrzeb rynku wewnętrznego. Wyniki tych badań zostały ogłoszone w marcu br. pod tytułem: „Powojenny udział rolnictwa brytyjskiego w oszczędzaniu walut”.

Autorzy tego przedłożenia rządowego przyjęli za podstawę lata: 1937—38, 1947—48 oraz 1950—51 i operowali w odniesieniu do tych lat liczbami wartości przedwojennej. W relacji obecnej należałoby więc zastosować mnożnik 65%-owy, aby uzyskać aktualne wysokości poszczególnych liczb.

Zgodnie z zasadniczym założeniem przy planowaniu rozmiarów produkcji rolniczej w latach wyżej podanych, zwrócono szczególną uwagę na zwiększenie produkcji takich artykułów, które pociągają za sobą największe w imporcie wydatki. Chodzi tu przede wszystkim o inwentarz żywy i artykuły pochodne. Dążenia idą w dwóch jednocześnie kierunkach, a więc: 1) jak największy procent inwentarza żywego winien być w Anglii hodowany, a 2) zamiast sprowadzać gotowe artykuły

po pochodzenia zwierzęcego, importować z zagranicy paszę dla zapewnienia zwiększającemu się pogłowiowi odpowiedniego pożywienia.

Przedłożenie rządowe oczekuje, że przez lepsze zużytkowanie pewnych artykułów, jak np. żyta, kartofli i ziarna na paszę dla bydła i trzody, będzie można zwiększyć produkcję mleka o 15% powyżej poziomu przedwojennego już w roku 1947, jak również uzyskać większe ilości mięsa, bekoni i jaj. W roku 1950/51 produkcja jarzyn i owoców będzie dużo większa niż przedwojenna. Tak samo w efektach powinny przedstawiać się zbiory żyta, kartofli i buraków cukrowych. W planach leży zwiększenie produkcji jęczmienia, używanego do warzenia piwa. W 1950/51 cyfrowo wzrost ma wyglądać następująco: Mleko — o 25%, pociągowie bydłowe — o 12,5%, owce — o 7%, świnię i drób — o 50%.

Plan zamierzony wymaga przede wszystkim poważnych nakładów inwestycyjnych w rolnictwie, obliczanych na 250 milionów funtów szterlingów. Nadto liczba zatrudnionych w rolnictwie winna być powiększona o 5—10% w stosunku do stanu przedwojennego.

Przedłożenie rządowe poza tym zdaje sobie sprawę z tego, że powodzenie planu uzależnione jest od uruchomienia odpowiedniej puli dogodnego kredytu finansowego dla gospodarstw rolnych; od ustalenia priorytetu w budowie budynków gospodarskich, od zapewnienia odpowiednich stawek płacy dla robotników rolnych, od dobrze zorganizowanej kontroli nad kierunkiem i ilością produkcji rolniczej, a wreszcie od zapewnienia rolnikom

stałego rynku zbytu dla ich produktów po korzystnych dla nich cenach.

Jeżeli te wszystkie warunki będą dopełnione, wówczas można przewidywać, że wartość produkcji rolnej będzie mogła być podniesiona o 60 milionów funtów szterl. w 1947/48, a o 79 milionów f. szt. w 1950/51 r. Kwoty te zostały obliczone wg cen przedwojennych, stąd też przyjmując 65%-owy wzrost cen otrzymamy odpowiednio kwoty 99 i 130 milionów f. szt. Ta zwykła wartości angielskiej produkcji rolnej nie może być oczywiście w całości i bezkrytycznie zaliczona na oszczędności w wydatkach na import, sprawa ta bowiem zależna jest od zmian w poziomie konsumpcji artykułów żywnościowych na rynku wewnętrznym.

W Anglii obserwuje się obecnie poważny wzrost siły nabywczej społeczeństwa. Sytuacja wygląda tam tak, że robotnik wielkobrytyjski nie może wydać obecnie zarobionych pieniędzy, aby podnieść własną stopę życia, bo rynek krajowy nie daje mu odpowiednich po temu możliwości. Z chwilą więc usunięcia kontroli spożycia, przy zachowaniu obecnej polityki stabilizacji cen należy oczekiwać automatycznego niemal wzrostu poziomu konsumpcji.

Omawiane przedłożenie nie przypuszcza, aby system racjonowania żywności funkcjonował przez jeszcze 4—5 lat. Dlatego też przewiduje się, że w r. 1950/51 nastąpi wzrost spożycia mleka i jarzyn, a dalej nieco mniejsza zwykła w konsumpcji mięsa, bekoni, serów, tłuszczów, cukru i owoców. Natomiast jakby dla zrównoważenia tego wzrostu, nastąpić powinien spadek spożycia maki.

Mamy przed sobą tablicę, która informuje nas, jak wyglądała konsumpcja artykułów rolnych, przeliczona w okresie tygodniowym na głowę ludności. Z zestawienia tego wynika, że struktura spożycia w W. Brytanii uległa w czasie wojny poważnym zmianom. W porównaniu z przeciętną z lat 1934—1938 w roku 1944 spadło spożycie mięsa z 212,8 gramów do 67,2 gramów, mięsa z 1218 gramów do 1025 gramów, cukru z 837 gramów do 655 gramów, ryb z 213 gramów do 148 gramów itd. Natomiast wyraźnie zwiększyło spożycie maki i innych przetworów zbożowych (z 1867 g do 2148 g), kartofli (z 1512 g do 2548 g), jarzyn (z 1064 g do 1540 g) itp.

Wg przewidywań dla r. 1950/51 przeciętna spożycia ma w swej strukturze przywrócić stan z przed wojny z nieznacznymi tylko różnicami. Mleka ma być więcej (3,2 p. w latach 1934—38 i 5 p. w r. 1950/51), więcej będzie do spożycia sera, ryb, cukru, jarzyn, owoców świeżych i konserwowych. Na poziomie przed wojennym ma utrzymać się konsumpcja maki, jaj, kartofli, owoców suszonych, kawy, herbaty i kakao. Natomiast przewiduje się spadek spożycia maki i innych przetworów zbożowych (z 1867 g do 1783 g).

Te zmiany w strukturze spożycia pociągają za sobą oczywiście poważny wzrost wartości kalorycznej dostępnych do zakupu na rynku wewnętrznym artykułów spożywczych. Nie o to jednak nam w tej chwili chodzi. Przypomnijmy sobie, że za trzy lata — zgodnie z omawianym planem — wartość brytyjskiej produkcji rolniczej podniesie się o 130 milionów f. szt. Zgodnie z naszym zastrzeżeniem wypada stwierdzić, że można liczyć się ze wzrostem płac nieproporcjonalnie szybszym od wzrostu cen na artykuły spożywcze, że uda się Anglii przeprowadzić zasadę pełnego zatrudnienia, że nowy system ubezpieczeń społecznych będzie miał wyraźnie dodatni wpływ na kształtowanie się przyrostu naturalnego. Wówczas możemy być świadkami takiego zjawiska, że potencjalnie zapotrzebowanie rynku wewnętrznego W. Brytanii na żywność nie tylko pochłonie cały wzrost produkcji rolniczej, ale przez odpowiedni wzrost konsumpcji może go przewyższyć.

Bez kontroli spożycia oszczędność w wydatkach na import może okazać się pozycją zerową. Gdyby utrzymać w Anglii kontrolę importu i takie racjonowanie żywności, które utrzymałoby poziom konsumpcji na poziomie lat wojennych, wówczas można byłoby mówić o zaoszczędzeniu około 191 milionów f. szt. Jeżeli te warunki nie będą zrealizowane, wówczas wydatki na import żywności zwiększą się o około 80 milionów f. szt. chyba, że wzrost produkcji rolniczej pozwoli na pokrycie dodatkowe nowych 80 milionów f. szt.

Jak z tych szkieletowych uwag wynika, główny punkt ciężkości w polityce rolnej W. Brytanii spoczywa w przedstawieniu produkcji rolniczej na produkcję hodowlaną, która pozwoli na poczynienie poważnych oszczędności w wydatkach na import mięsa, przetworów mięsnych i nabiału. Są to artykuły najdroższe z artykułów żywnościowych w W. Brytanii. W roku 1938 Anglia importowała mięsa i nabiału na łączną sumę 170.793.979 f. szt. Produkcja krajowa tych artykułów oceniana była na 202.819.000 f. szt., a zatem ogólna wartość wewnętrznego spożycia nabiału i mięsa wynosiła razem 373.602.959 f. szt. W przewidywanej w roku 1950/51 produkcji ocenia się wartość wyprodukowanego w W. Brytanii mięsa i nabiału na 255.874.000 f. szt. W czasie wojny produkcja tych artykułów spadła o 36.000.000 f. szt., głównie z uwagi na olbrzymi spadek importu paszy. W roku 1950/51 import paszy ma osiągnąć poziom przedwojenny, co pomoże do postawienia hodowli na właściwym poziomie.

Obok skierowania dużego wysiłku na rozbudowę produkcji hodowlanej dużą wagę sfery rządowej W. Brytanii przywiązują do wzrostu produkcji jarzyn i owoców. Wg oświadczenia Ministra Rolnictwa, będą poczynione wszelkie starania, aby umożliwić rolnikom rolnym osiedlanie się na roli i zakładanie małych gospodarstw ogrodniczo-warzywnych. Takie posunięcie ma, zdaniem rządu wielkobrytyjskiego, zapewnić wzrost produkcji na odcinku warzyw i owoców.

Anna Kamińska

PISARZOM JADĄCYM NA ŚLĄSK

Z twych okien zapóźniony z piórem do świtu
widzisz, jak krowy wychodzą z bramy gimnazjum
i idą przez rzekę kładąc brzuchy na wodzie;
turkoce wesoło wóz po żniwo, mijają dorożkę pijanych spekulantów,
a w rozdarciu chmur dzwonek z klasztoru
budzi płacz dziecka.

Łatwy pejzaż. Inne narzędzia nie potrzebuje do wzruszeń
prócz ciała zmęczonego przed kąpielą,
gdy ciężko przesuwają się tłoki serca,
a ręka jeszcze piszcząc rozgrzebuje to samo dno snu,
w którym i ciało mojego profesora tleje w ziemi.

Tymczasem maszyny doskonałe do entuzjazmu
ze stali, nerwy z kryształu, elektryczny huk
ci się przyśni, gdy ponad chrzęstem gazet
porwie cię pociąg na Śląsk. Wymień nim gwiazdę,
o którą wsparliśmy mowę z wieczora.

Dzień zażąda od ciebie języka, w którym stanie
przed rozumem zbudzonego więcej — prócz mgieł od rzeki.
Tak Egipcjanin patrzy z nad żaren,
jak pod domy Norymbergi zarosło fiołkami
płynie chłodnia — okręt z Ameryki
z blaszankami mięsa dla zbrodniarzy,
z puszkami mrozu ze spadania gwiazd i katedr.

Aby zdrowe, mądrzejsze oraz rosło u stóp gimnazjum,
gdzie begonie sadzili chłopcy i stoi niezamieszkały pomnik,
trzeba z węgla śląskiego, z książek, nawet z wyznani miłosnych
kłaść przesła mostów nad państwami Europy.

Nie samotny. Patrz, gdy piszesz — trudem szczęście mierząc —
na wsi nauczyciel pomaga — wraca ze szkoły.
W domu książka otwarta na stronie...
pachnie naftą. Godziny biegną i tutaj,
podczas gdy rysował na tablicy dzieciom żarówkę
rozpiętą w przekroju jak owad.
Nauczyciel ściera z lampy kopec,
— tu jeszcze drut nie zdążył z iskrą po szosie —
otwiera szafę i wyjmując chleb, którego braknie
dziś w Paryżu i w Chinach. Posił sie
i ty pięknym kraju, bo dojeżdżasz już. Śląsk.

Ogólnie można stwierdzić, że widać wyraźnie dążenie skierowania rolnictwa angielskiego na rodzaj produkcji, który może wytrzymać konkurencję z cenami artykułów sprowadzanych z zagranicy i dla którego miejscowe warunki glebowe i atmosferyczne są właściwe. W Anglii produkcja zbóż nie ma szans na opłacalność finansową. Gatunkowo również nie może być podniesiona na szczególnie wysoki poziom. Inaczej rzecz przedstawia się z mięsem i przetworami mięsnymi oraz warzywami. Tutaj różnice między cenami w kraju i zagranicą nie są wielkie i mogą być łatwo wyrównane odpowiednią polityką taryfową, która zapewni producentom rolnym korzystne ceny i stały rynek zbytu.

Wg doniesień prasy rolnicy angielscy twierdzą, że wobec wyjątkowych i nagłych potrzeb chwili konieczne jest przedsięwzięcie specjalnych środków w okresie najbliższego półtora roku. Aby powetować straty, wywołane warunkami atmosferycznymi, w pienią-

dzach, zbiorach i inwentarzu, aby dać krajowi odpowiednią do zapotrzebowania ilość artykułów spożywczych, trzeba dążyć do znacznego zwiększenia wartości produkcji rolnej.

Rolnicy angielscy zdają sobie sprawę z tego, że dla zapewnienia wzrostu produkcji żywności, inwentarza i paszy dla bydła, należy zarzucić przestarzałe formy gospodarowania na roli i wprzeć do pracy wszelkie zdobycze techniki, wiedzy i doświadczenia.

Plany uchwalone zmierzają do tego, aby oszacowane zostały minimalne ilości zbiorów zasadniczych płodów rolniczych, takie ilości, które będą niezbędne Anglii dla zaspokojenia potrzeb rynku wewnętrznego w okresie najbliższych lat 5. Główny nacisk położono na produkcję hodowlaną. Dlatego też widzimy między uchwałami wniosek o zwiększenie uprawy roślin bogatych w białko na paszę dla inwentarza oraz wniosek o zatrzymywanie przez rolników określonej ilości ziarna na żywienie inwentarza, aby można było powie-

żyć dostawy w mięsie, jajach i tłuszczach zwierzęcych do miast.

Rolnictwo angielskie przewiduje, że w roku 1947 wydać powinno na mechanizację rolnictwa około 40 milionów funtów szterlingów, stąd też apeluje do rządu i do producentów maszyn rolniczych, aby ograniczyli eksport tych maszyn, a skierowali znakomitą większość produkcji na użytek wewnętrzny. Jak olbrzymie są potrzeby rolnictwa angielskiego w tej mierze, to ilustruje fakt, że otrzymali oni 75% całej zeszłorocznej produkcji maszyn rolniczych, a wartość maszyn zakupionych była trzy razy większa niż wartość zakupu przedwojennego. Mimo tego braki są jeszcze bardzo poważne i nie dadzą się wyrównać szybko. Obok mechanizacji rolnictwa projektuje się wszechstronną przebudowę istniejących budynków gospodarskich.

Oto niektóre z elementów, które ma do rozwiązania rolnictwo wielkobbrytyjskie. Sytu-

cja jego jest dość skomplikowana, jak skomplikowana jest sytuacja międzynarodowa Anglii na odcinku gospodarczym. Sprawa polega na tym, że wzajemne oddziaływanie i wzajemna zależność miasta i wsi w najszerszym tego znaczeniu staje się obecnie naczelnym problemem wielu państw. Przykładem jest W. Brytania, która w rolnictwie widzi ratunek dla chwiejnego swego bilansu handlowego. Warto jednak pamiętać, że niemal każda próba tego rodzaju w ustroju kapitalistycznym, jakim jest nadal ustrój w Anglii, skazana byłaby na niepowodzenie w warunkach panowania wielkich posiadaczy ziemskich, gdyby nie dyscyplina społeczna i karność obywatelska Anglików, godna podziwu i naśladowania, zwłaszcza dla krajów, w których koncepcje gospodarcze opierają się na ludowładztwie i na gospodarczym planowaniu ludowym.

Tadeusz Orlewicz

Andrzej Skupień-Florek

PODHAŁE NA PRZEŁOMIE WIEKÓW*)

KARCZMA

Sprawującym władzę w powiecie Nowotarskim w tych czasach był starosta Gieperth — Austriak. Służba w wojsku od czasu 3-go wójta trwała już tylko 3 lata. Część ludności, uciekając przed nią emigrowała zagranicę, nie wyłączając Ameryki. Po tych „reformach” dwór stracił na swoim znaczeniu, a do prac na swoich dobrach musiał ludzi wynajmować za uiszczeniem gotówki, a z czasem posiadane w Białym Dunajcu karczmy i młyn sprzedał. Młyn kupił włościanin Para rodem z Bukowiny, którego rodzina odtąd zamieszkała tutaj. Karcznię w dolnej części Białego Dunajca — na roli Buzkowej kupił Goldmann — Żyd, a w górnej części na roli Stachowcowej — Szlachet — Żyd.

Obok tych karczem, powstały jeszcze dwie inne karczmy, pierwsza, którą na dole u Chudego na parceli kupionej od włościanina Skupnia zw. „Grzychem” postawił Żyd Siemann, druga w górnej części koło mostu u Cudzieha na ofiarowanym przez Szymona Dzierżę — „Mysiora” skrawku kamieńca, postawił Żyd Kempler, przybyły z Gronko. wa.

W kilka lat później, dwie pierwsze karczmy z czasów Rychterskich wykupione przez Galdmana i Słachetę, przeszły przez wykupienie od nich na własność miejscowych włościan. Zaś „gospoda” Kemplera spłonęła przez podpalenie, a właściciel opuszczając wieś ustąpił plac innemu żydowi — Markowi Wachbergerowi, który w tymże miejscu postawił nową karczmę. Mając we wsi tyle szynków, ludność rozpiła się w okropny sposób, tak, że karczmy nie mogły już jej pomieścić, to też ludność urządziła sobie w gospodarskich domach na ten cel upatrzone, t. zw. „Bursy”, gdzie gromadnie pito różne napoje i przy byle muzyce tańczono. I awanturowano się całymi nocami. Duchowieństwo było bezsilne. Sprowadzono Ks. Jezuitów urządzając Misję św., które odbyły się i w Poroninie. Misjonarze grzmiącymi głosy wywali, błagali i zakinali ludność, aby się poprawili, bo „straszna ich kara Boska czeka”, prośby i groźby były ponoć tak straszliwe, że ludność ogarniał paniczny strach i płacz — ale poprawy wiele nie było. Dopiero następny rok był okazją do poprawy z powodu ogromnej klęski nieurodzaju na skutek mroźnego roku, jaki nawiedził Podhale, tak że posiane owsy wprawdzie powychodziły, ale do wykłoszenia nie doszło, to też wszyscy gospodarze razem namócili zaledwie 18 korcy owsa, ziemniaki liche urosły, a do tego prawie w ziemi zgnily nie kopane i stąd zapanował głód. Ludność mając na pamięci misjonarzy i ich groźby, zapowiedź „kary Bożej”, robiła wielki lament i wyrzekanie na owych misjonarzy, że to oni spowo-

dowali tę karę swoimi prośbami na ich opamiętanie. Takich lat nieurodzaju ówczesni Podhalanie przychylali więcej — następowały one kolejno po sobie.

POWIETRZE

W roku 1873 dnia 1 września wybuchła straszna choroba — cholera — trwała do połowy tego miesiąca, i prawie w każdej wsi zbierała ofiary. Doktor Tytus Chałubiński z Warszawy, i dr Urbanowicz ze Żmudzi, będący tu podówczas, z całym poświęceniem nieśli pomoc ludności.

W Białym Dunajcu cholera spowodowała 13 ofiar śmiertelnych, które pochowano we wspólnym grobie we wsi na roli Bałosowej, a krzyż postawiony na owej wspólnej mogile świadczy po dzień dzisiejszy o tej strasznej zaradzie, jaka tutaj istniała. Ludność w czasie tej zarazy izolowała się, nie opuszczając swoich domostw, a pomoc nawiedzonym tą zarazą w tej wsi niósł miejscowy chłop Jan Sikora „Cibiorz”, wielki pijak który chorych leczył według rad dr Chałubińskiego z Zakopanego, oraz zmarłych układał w trumnach, odwoził i grzebał. Sam jednak tej zarazy nie nabawił się mimo, że z zarazonymi miał do czynienia. Odporność tę przypisywano wodce, którą codzień pił w sporej ilości, oraz czosnkowi, jaki spożywał.

NOWINY

Po okresach klęsk nastąpiło pewne uspokojenie i poprawa ludności — nastąpiły też i lata lepszego urodzaju. Szkoły parafialne skupiały coraz większą ilość uczących się, powstała też szkoła także i w Poroninie, gdzie większość Dunajczan zdążyła z racji krótszej drogi. Polskie organizacje oświatowe, spółdzielcze i polityczne coraz śmielej i szerzej rozwijały swoją działalność uświadamiając lud, co było przez młodszych żywcem przyjmowane, natomiast starsi do sprawy polskiej mieli uprzedzenie, łącząc ją ze sprawą szlachty, której bardzo się bali, by z przywróceniem Polski znowu nie objęła w swe ręce rządów, i nie narzuciła ludowi pańszczyznianego jarzma.

Ideowymi działaczami chłopskim jacy tutaj najczęściej zaglądali, byli Wincenty Witos i Bernardzikowski, którzy w osobie Ks. W. Roszka, proboszcza w Poroninie znaleźli gorliwego krzewiciela sprawy polsko-ludowej. Pierwszymi pismami, jakie tutaj docierały do chłopskich rąk były: „Przyjaciel Ludu” i „Wieś i Pszczółka”. W roku 1884 galicyjska c. k. rada szkolna krajowa zorganizowała w

Białym Dunajcu filialną szkołę, która mieściła się w domu prywatnym. W roku 1889 przystąpiono do budowy własnego budynku szkolnego na środku tej części wsi, która należała do parafii Szaflary. W roku 1892 stanął murowany budynek, w którym i obecnie odbywa się nauka. W międzyczasie powstała myśl postawienia we wsi kaplicy, w której co jakiś czas odbywałoby się nabożeństwo choćby dla starców, i kiedy w roku 1899 w. zytował parafię Szaflarską ks. Kardynał Książ Jan Puzyna — biskup krakowski, udała się do niego delegacja w tej sprawie, co przez ks. Kardynała zostało przyjęte z przychylnością, i odtąd myśl postawienia kaplicy żywo zaprzętnęła umysły wszystkich.

W następnym roku 1900 zaistniała sprawa o wielkim znaczeniu dla przyszłości Podhala, a która w straszliwy sposób zaniepokoiła Białodunajczan. Była to sprawa budowy linii kolejowej Chabówka — Zakopane a w związku z tym zabieranie gruntów pod tę linię. Białodunajczanie stawiali silny opór, mimo, że zaczęli dokonywać się za wykupem. Sprzeciw ich jednak nie mógł być uwzględniony, a kiedy pociąg ukazał się poraz pierwszy, to ludność z przerażeniem oglądała ów „cud”, mówiąc na podstawie czytanych proroców królowej Saby, że w tym „ognistym piecu” jeździ antychryst — i że niedługo będzie koniec świata. Z czasem oświelił się w tym „ognistym piecem” doznając skutków jego dobrodziejstw, gdyż odtąd datuje się postęp i poprawa gospodarcza Podhala ze względu na dowóz środków żywności i nawozów sztucznych. Z czasem zaczęli przyjeżdżać coraz liczniej goście letnicy, którzy zawsze nieco przywiezionego grosza tutaj zostawili. Między innymi letnikami w r. 1914 zamieszkał u Sobestiana Skupnia znamienni goście: Lenin i Trocki, których z chwilą wybuchu wojny poszukiwała żandarmeria austriacka — lecz już za późno.

SZKOŁA I KAPLICA

W roku 1910 wieś buduje w swej górnej części drugi budynek szkolny, co świadczy o dużym zrozumieniu potrzeby nauki, zresztą Białodunajczanie od dawna mieli ambicję uczenia się, by „wyjść” na ludzi, skoro mieli już sporą ilość swoich synów na różnych stanowiskach w kraju, poczynając od Stanisława Pawlikowskiego posła do parlamentu austriackiego, aż do czasów dzisiejszych i tak. ks. Arcybiskup Ferdynand Pawlikowski, Ks. Książ Jan Stachowicz, ks. proboszcz z Limanowej, Ks. Jan Stachowicz, b. proboszcz w Tylicu, Ks. Jan Para który pracuje w jed-

nym z ośrodków robotniczych w Polsce, Tomasz Buła, który był proboszczem gimnazjum w Nowym Targu, Andrzej Galica generał W. P. b. dowódca Dywizji Pułków Podhalańskich, Franciszek Skupień major W. P.; Jan Galdyn, Insp. Izby Skarbowej, Inż. Paweł Cudzik geometra, Jakub Buła Insp. nadleśniczy w Toruniu, Wład. Stachowicz b. sędzia, obecnie adwokat, A. Cachro nacz. Urzędu pocztowego, Fr. Dańko, urzędnik, Helena Zachemska z Parów, Anna Biegańska z Bułowa, Józefa Polakówna, Helena Bułówna, nauczycielki. W roku 1912 udaje się delegacja Białodunajczan do Księdza Biskupa Sapiehy, który odbywał wizytację parafii Szaflarskiej, przedstawiając mu sprawę budowy kaplicy. Książ Biskup żywo interesuje się tą sprawą, ogląda na miejscu plac pod budowę — chwali zamiary i błogosławi. Od tej chwili przystąpiono do realizacji planów gromadząc potrzebny materiał. Niestety wybuchła wojna, niwecząc wszelkie plany.

WOJNA.

Przed wybuchem wojny była tutaj zgora, nierzowna polska organizacja wojskowa pod nazwą „Drużyn Podhalańskich” do której należało kilkadziesiąt chłopów w wieku przed poborowym, z których 8-miu ochotniczo walczyło w szeregach legionów o niepodległość Polski. Wojna ta w porównaniu z ostatnią nie wyrządziła dużych szkód, najdotkliwszym był pobór mężczyzn do wojska, we wsi pozostali starcy i kalesy a kobiety same musiały wykonywać pracę za mężczyzn w domu i na roli, której nie umiały i nie mogły uprawiać jak należy, skutkiem czego gospodarstwa upadały. Do tego był brak koni, które równie zabierano, natomiast raszcie bydła jak krowom i owcom dawali Austriacy spokój, tak, że poza jednym jedynym spędem bydła, na który doprowadzono 7 sztuk, — więcej za cały okres tej wojny nie wzięto. Podobnie było z sypką owsa. Znacniejszych oddziałów wojsk, ani też przemarszów — tutaj nie było, natomiast kilka razy kwatrowali we wsi w dużych ilościach uchodźcy ze wschodnich terenów, gospodarze, których przywożono koleją wraz z posiadanym dobytkiem a nawet przyjeżdżał własnymi furmankami prowadząc za sobą krowy. Byli oni prawdziwą plagą wsi, ponieważ cudzą własność tak w domu jak i w polu, nie była dla nich „święta”, a brak we wsi mężczyzn bardzo ich ośmielał. Należało też być czujnym wobec jeńców, jacy tutaj byli na robotach we dworze p. Uznańskiego w Poroninie, którzy waleśali się samopas po wioskach za żywnością. Skutkiem tej wojny kilku mężczyzn Białodunajczan na zawsze nie powróciło do swoich domów.

W roku 1918 a nawet i 1917 coraz liczniej zaczęli się pojawiać w swoich domach młodzi żołnierze, często nawet z bronią, rękoma na urlopie, a w rzeczywistości byli to dezercerzy, mający już dosyć wojny. Musieli oni jeszcze jakiś czas ukrywać się, gdyż byli poszukiwani przez specjalne patrole wojskowe, ale w niedługim czasie ustało owe poszukiwanie na skutek zakończenia wojny, z której Polska zmartwychwstała by żyć. Odtąd widywaliśmy często przemarszerowujące lub kwatrujące we wsi Polskie Wojsko. Widywaliśmy polskich żołnierzy w austriackich mundurach, którzy zamiast „bączków” z inicjałami F. J. I. na czapkach, mieli polskie orzełki lub białe czerwone kokardki. Byli też i młodzi, szare żołnierzyki w „maciejówkach”, a nawet starsze wąsate chłopcy w błękitnych mundurach gen. Hallera. Były jeszcze potem momenty smutne dla zmarłych twychwałej Ojczyzny jak i dla nas, ale wypadki te potoczyły się szybkim biegiem przynosząc spokój i normalizację stosunków.

KAPLICA I SZKOŁA

Teraz już Białodunajczanie w wolnej Ojczyźnie realizują swoje plany budowania kaplicy, tak że w roku 1921 Ks. kan. Maurycy Rottermund proboszcz z Szaflar dokonał poświęcenia kamienia węgielnego i rozpoczęto budowę na placu, który ofiarowali bezpłatnie dwaj bracia Łukaszczykowie - Kociowie. Budowa postępowała w sposób zadziwiający, dzięki wysiłkom wszystkich obywateli pod przewodnictwem dzielnego komitetu w składzie Fr. Cudzicha „Kleofasa”, Stan. Cudzicha „Bacy”, Fr. Pary, Jędrzeja Matygi „Łukasza” i Józ. Ślimaka. Najgorliwszymi apostołami tej sprawy byli Fr. Cudzik i Jędrzej Matyga, którzy

Redakcja Tygodnika „WIEŚ” ogłasza konkurs otwarty na REPORTAŻ Z ZIEM ODZYSKANYCH

Grupa pisarzy chłopskich i rysowników w osobach: Leonard Sobierajski, Tadeusz Chrościelewski, Bronisław Mazur, Władysław Leszczyński, Czesław Schabowski, Stefan Gierowski i Jadwiga Berdzikówna, udaje się w miesiącu sierpniu na Śląsk po materiał faktyczny do wielkiego cyklu reportaży z życia gospodarczego. Protektorat nad tą akcją objęło Ministerstwo Przemysłu i Handlu w osobie — Wicemistra Eugeniusza Szzyra.

Najlepsze reportaże konkursowe ogłoszone zostaną w zbiorowych wydawnictwach książkowych. Znaczenie akcji reportażowej Tygodnika „Wieś” leży nie tylko w zebraniu cennego materiału wiedzy o odbudowującej się Polsce. Tworzy się nowy typ literatury, nowa metoda zbiorowej i planowej pracy pisarskiej. Pisarze chłopscy zwracając się do zagadnień przemysłowych dokumentują tym zrozumienie potrzeb gospodarczych państwa dotychczas rolniczego, widzenie właściwych proporcji spraw w ramach państwowego życia.

W liście do Redakcji otrzymanym z Ministerstwa Przemysłu i Handlu — czytamy:

„Ministerstwo Przemysłu i Handlu w osobie Ob. Wiceministra E. Szzyra całkowicie stosunek Młodej Literatury Wiejskiej do rodzimego przemysłu popiera...”

*) „Wieś” 23 (102), 26 (105), 27—28 (106—107).

PODZIĘKOWANIE

Redakcja tygodnika społeczno-literackiego „Wieś” składa na tym miejscu serdeczne podziękowanie Wydawnictwu Eugeniusza Kuthana w Warszawie za ofiarowanie 30 egzemplarzy swych wydawnictw dla Pisarzy chłopskich — uczestników Zjazdu w Rytywanach (30.VI — 6.VII br.).

Podnosimy z uznaniem obywatelskie stanowisko Wydawnictwa zapewniając, że otrzymane książki spełnią swą funkcję społeczną wśród Pisarzy Chłopskich.

W OSTATNIM 30 (109) NUMERZE „WSI” z dnia 3 sierpnia 1947 r.

Maurycy Jaroszyński — Reforma wyższego szkolnictwa; Zbigniew Krawczykowski — Bitwa o chleb; Piotr Ożarowski — „Przegląd Traktorowy”; Bronisław Mazur — Pojednanie z ziemią (wiersz); M. Borodko (S. I. B.) Współpraca stacji naszynowo-traktorowych z gospodarstwami rolnymi w ZSRR; Tadeusz Orlewicz — W obliczu nowych zbiorów; Zdzisław Skwarczyński — Chłop i sprawa chłopska w powieści XVIII wieku; Józef A. Frask — Dzień, który mija (wiersz); Henryk Syska — „Jarzmo” Kłosowskiego; Józef Pogan — Służba Stasi (nowela); Stanisław Jucha — Szkice dziejów szkoły rolniczej w Czernichowie — Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Łodzi; 13 ilustracji — Sprostowania — Ogłoszenia — Komunikaty — Książki nadesłane. 8 stron.

nieustannie kwestowali po wiosce zbierając ofiary na budowę już nie kaplicy, ale kościoła. Dlatego też ludność nazwała ich apostołami — Cudzicha „Kleofasem” i Matygę „Łukaszem” — nazwy te pozostały do dziś, jako ich oficjalne przydomki. W roku 1922 na podstawie polskiego prawa wyborczego do samorządu, odbyły się we wsi wybory na radnych w których biorą udział i kobiety na równi z mężczyznami, tworząc czwarte koło wyborcze, do którego należeli i młodzi uprawnieni mężczyźni nie będący samodzielnymi gospodarzami. Biały Dunajec miał prawo do wybrania już nie 18 ale 24 radnych. Pierwszym wójtem po latach niewoli został wybrany młody gospodarz-maturzysta Ludwik Cudzych „Baców”. Po pięcioletnim jego urzędowaniu władza zwierzchnia przechodzi w ręce Wincentego Majerzyka, który był wójtem do końca istnienia gmin jednostkowych tj. do 1935 roku.

W międzyczasie powstaje w Białym Dunajcu większa fabryka tektury drzewnej, której budowę zapoczątkowali w r. 1925 p. inż. Czajewski i p. Ordońska z Krakowa, którzy wykupili od gospodarzy grunta na przeprowadzenie koryta wodnego i placu znajdującego się między mostami kołowym i kolejowym u Cudzychów. Jednakże inicjatorzy tego dzieła do końca nie doprowadzili, lecz sprzedano je w całości Koppelmanowi z Tibergerem do spółki. Jest to rzecz doniosła dla miejscowej ludności pod względem gospodarczym, gdyż sama budowa fabryki jak i praca w niej daje ludności zarobek na miejscu.

W dniu 4 marca 1928 roku odbywają się wybory do Sejmu na posłów. W naszym okręgu wyborczym kandydował na posła z listy B.B.W.R. Nr 1 nasz, przez wszystkich ceniony i lubiany, rodak Gen. Andrzej Galica, to też mimo innych przekonań, ludność swoje głosy oddała na listę Nr 1, chcąc mieć swojego rodaka posłem — jednakże wybrany poseł rodak zdradził swoich wyborców i całą swoją rodziną wieś sprzedając swój mandat Janowi Walewskiemu, mieszcuchowi obcemu. Takie postąpienie Generała Galicy wywołało ogromne oburzenie ludności, a tym samym stracił on zaufanie, powagę i honor u Rodaków. Wszelkie późniejsze, niechętnie odnoszenie się ludności do spraw politycznych, należy tym zdradzieckim postępkom generała tłumaczyć. Wybory na Sejm w dniu 8 września 1935 r., zostały przez Białodunajczan zbojkotowane tak dalece, że na 1200 uprawnionych głosowało 97 osób. W roku 1929 odbyło się tu jeszcze głosowanie, ale już nie na posłów, lecz za zniesieniem karczem we wsi, czyli plebiscyt przeciw alkoholowi, który równocześnie przeprowadzały jeszcze inne 4 gminy. W plebiscycie tym Białodunajczanie opowiedzieli się wszyscy (z wyjątkiem trzech) za zniesieniem karczem, które ostatecznie zostały skutkiem plebiscytu zlikwidowane, gdyż właścicielom odebrano koncesje.

Nielada uroczystość obchodzili Białodunajczanie w dniu 15 lipca 1928 roku, gdy budowa kościoła została tak dalece posunięta, że przednią część wykończono i urządzono i w tym dniu odprawiono pierwsze uroczyste nabożeństwo połączone z poświęceniem wykończonej budowy. Odtąd Biały Dunajec stał się ośrodkiem wsi Bańskiej Górnej, Niżniej i Gliczarowa, które wchodziły w skład parafii Biały Dunajec, i od tej chwili odprawia tu nabożeństwa do niedzieli ksiądz dojeżdżający z Szaflar. Od roku 1933 zyskuje Biały Dunajec wielkiego przyjaciela, a nie wykończony kościółek (brak wieży) gorliwego opiekuna w osobie Ks. Wł. Puczk, wikarego z Szaflar. Wykończenie kościoła w niedługim czasie nastąpiło, a ukoronowaniem tego dzieła były trzy piękne dzwony jakie w dniu 8 maja 1938 roku poświęcono i na wieży powieszono, a od sierpnia tego samego roku zostaje urzędowo ustawiona w Białym Dunajcu samodzielna parafia a jej proboszczem jako pierwszym jest zasłużony Ks. Wł. Puczka. Niezależnie od budowy kościoła budowano też i plebanie oraz budynki gospodarcze. Marzenia od dawna snute zostają osiągnięte w pełni. Nieomal w tymże czasie



Andrzej Skupień - Florek przed swoim domem

Biały Dunajec otrzymuje jeszcze jedną większą budowlę o znaczeniu gospodarczym. Jest nią duży młyn walcowy poruszany turbiną wodną, który postawił i uruchomił Dr. Śpiesz-

ny z Nowego Targu na placu wykupionym od Parów wraz z byłym starym młynem, pamiętającym czasy królewskie i pańszczyzniane.

Kościół, dwie szkoły, fabryka tektury, młyn walcowy - turbinowy, w miejscu stacji kolejowa podnoszą ogromnie znaczenie wsi. Powstają liczne organizacje społeczne i oświatowe: Ognisko Związku Podhalan, Kołko Rolnicze wraz z własnym sklepem, Koło Gospoń Wiejskich, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Koło Młodzieży Ludowej, Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych itp.

W roku 1933 odbył się tutaj ogólny Zjazd Związku Podhalan, a gospodarzem zjazdu było miejscowe „Ognisko”, któremu dzielnie przewodniczył młody Włodek Para. Rozmach prac społecznych, jaki ogarniał ludzką, powstrzymała straszna klęska powodzi, jaka nawiedziła w lipcu 1934 r. Małopolskę wyrywającą wsi naszej ogromne zniszczenie pól i pól, z których na zboczach woda zniosła w dół uprawną ziemię, niszcząc drogi i mosty gromadzkie jak i most na rzece Biały Dunajec, na drodze państwowej Nr 13. Otworzyło się ogromne pole pracy, odbudowy zniszczeń — a tu brak było żywności. Rzutniejsi gospodarze, działacze, organizują do wóz żywności za gotówkę z powiatów Wołynia dla tutejszej ludności. Ta konieczność dała pewne doświadczenie tym ludziom, i odtąd sprowadzają dla wsi wszelkie potrzebne produkty i towary gospodarcze, nie wyłączając nawozów sztucznych, z pominięciem wszelkich pośredników. W tym też roku wchodzi w życie nowa ustawa o zmianie ustroju samorządu terytorialnego a w związku z tym nasza gmina samodzielną zostaje przekształcona na gromadę wchodzącą w skład zbiorowej gminy Poronin. Według spisu ludności z roku 1931, gromada liczyła 2.504 osoby, więc mieliśmy prawo wyboru 32 radnych gromadzkich. Ostatnim wójtem był Wincenty Majerzyk, a pierwszym sołtysiem gromady Fr. Franosz.

Przechodząc z samodzielnej gminy na gromadę podległą zarządowi gminy zbiorowej utraciliśmy możliwość samodzielnej inicjatywy i jej realizacji, gdyż nasze projektowane zamiary nie zawsze rada gminna nam aprobowala, a najczęściej nam je odraczała na przyszłość. Mimo tego gromada wybudowała dom gromadzki, w którym w jednej części urządzono remizę Straży Pożarnej, a w drugiej ulokowano sklep Kółka Rolniczego. Przystąpiono też do elektryfikacji wsi, budując własnym kosztem linię elektryczną. Kupiono plac pod budowę trzeciej szkoły już 7-mio klasowej. Plany i kosztorysy zostały sporządzone, jednakże najazd niemiecki położył kres wszelkim poczynaniom gromady.

c. d. n.

Andrzej Skupień Florek

WIERSE KLEMENSA OLEKSIKA ZAGAJNIK

Ten granat odmienił krajobraz:
w ataku na białe brzoźki
nie znajdziesz i nie rozpoznasz
tej, z ostatniej majówki.

Jeśli wyrzeźbisz w przestrzeni
lej rozgrzanym granatem —
wiosną się zazieleni
kasztan przed twoją chatą

i wtedy, słysząc pszczoły
z odnowionego ula —
będziesz przyglądał się kwiatom
jak wystrzelonym kulom.

* * *

Pomidory dojrzałe, gładkie
jak policzek przy powitaniu odległym:
ustawiam na oknie
nawprost słońca.

Zasłuchałem się w ciszę ogródka
papierosem spalonym do końca.

Strzegę śliwek niedojrzałych u płotu
przed zwinnych chłopców napaścią.
Za stodołą suszy się jęczmień
na garściach.

I przy sennym żórawiu zagdakała
czupurna kwoka —
tylko Burek spojrzał spod oka
i chmura na niebie przystała biała.

Żniwa odprawiane na rżyskach
brzękiem wujowej kosy
jak akt ostatni w mej sztuce —

ludzie na opalonych ramionach
słońce niosą.

PRZY ŹRÓDLE

Jeśli kiedyś marzyłem — marzyłem o źródle
w lesie koło Końskich. U stóp wzgórza
wśród omszałych kamieni
ranny Lotnik jak komunikanty
przyjmował krople czerpane czapką.

Potem podchodzili koledzy —
nie przeglądali się w zwierciadle:
ale tak na czworakach przykładali usta
a jak upływały minuty
puszcza nabierała uroku
i życie wydawało się rozleglejsze i wolne.

Można było podziwiać omszałe kamienie —
mnie zdawało się jakby to było miejsce dziewicze,
gdzie pozostał jeszcze ślad stopy pierwotnego człowieka.
Ale niedaleko, na jodle, były wyrte litery:
ktoś kto tu przed nami był
kosztował smaku źródlanej wody
i upamiętnił tę chwilę napisem.

Czy mógłbym teraz znaleźć to miejsce?
Wątpię. Nikt z nas nie myślał wtedy o geografii
nie zaznaczał na mapie oaz takich jak ta.
Przechodziliśmy szybko od jednej potyczki do drugiej.
Na tym Lotnik ostatni raz pił wodę źródlaną.

MIASTO

Na mglisty ranek wyniesiono malarskie płótno
wiszące teraz tu, w muzeum miejskim.
Przychodzą mieszczki o wydatnych biustach
i oglądają wstydliwie akt męski:
gdzie się podziwia człowiek-model?
zginął przechodząc przez jezdnię —
na nagrobku nie napisał nikt nic
o jego sławnej śmierci.

Chłopcy w gimnazjalnych mundurach
czepiają się tramwajów, jeżdżą na stopniach
dojrzewają w głębokich ławkach szkolnych
na mówców profesorów i inżynierów.
Lokator z drugiego piętra
nie zeszedł dziś do stołówki:
wygląda przez zamglone okno
na karawan wracający z pogrzebu.



Najstarszy gazda w Białym Dunajcu Józef Pawlikowski - Solcorz, urodzony w roku 1857
■ rodzinny sołtysa wybrańca Pawlika, żyje i krzepko się trzyma do dziś.

Mieczysław Grad

O POWIEŚCI DLA WSI

(Referat dyskusyjny wygłoszony na zjeździe w Rytwianach)

1. TEMAT.

Mówiąc o literaturze ludowej w ściślejszym, autentycznym tego słowa znaczeniu oraz o literaturze bezprzymiotnikowej, ogólnie - narodowej, winniśmy je traktować jako dwie fale idące ku sobie na spotkanie. Pierwsza — uboga jeszcze w zakresie formalno-technicznym ale nowa i przebojowa w treści — druga, postępową w zakresie artystycznych technik, ale nieludowa, nie chłopiska, a nie robotnicza, bo mieszczańska w treści. Te dwie fale spotykają się i zespolą organicznie poprzez artystyczne unarodowienie pierwszej i treściowe uludowienie drugiej.

Dlatego mając mówić o powieści dla wsi, mówić będę na temat powieści w ogóle. Tak jest. Na temat współczesnej powieści polskiej. Zdaje sobie sprawę z tego, że referat mój będzie fragmentaryczny i jednostronny. Jest jednak w programie Zjazdu drugi na ten sam temat referat Anny Kamińskiej traktujący rzecz bardziej o formalno-technicznym, warsztatowym punkcie widzenia, tak, że jednostronność jednego rodzaju można będzie uzupełnić jednostronnością innego rodzaju, które wzajemnie winny się konfrontować i sprawdzać.

2. KRYZYS POWIEŚCI.

Kiedy rozważamy współczesną powieść, współczesną powieść polską na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci lat, okresu sięgającego jeszcze poza pierwszą wojnę światową, okresu międzywojennego i już powojennego, pod stawowym bodźcem rozważań jest chyba fakt, który można określić jako rozwaranie się nożyc pomiędzy rozwojem ogólnie - społecznym i rozwojem powieści. Zachodzi tu, być może, swego rodzaju złudzenie perspektywiczne. Czujemy jednak wyraźnie, że rozwój powieści nie nadąża za rozwojem życia społecznego w ogóle, że powieść nie wytrzymuje tempa rozwoju współczesnego życia społecznego, że nie towarzyszy godnie, tym wielkim przeobrażeniom, jakie na oczach naszych się dzieją.

Powieść nowoczesna, nobilitowana jako odrębny literacki gatunek w epoce romantyzmu (jak to wykazał Kazimierz Wyka w szkicu „Romantyczna nobilitacja powieści” — „Twórczość”, r. 1946 z. 7 — 8) stała się gatunkiem literackim, panującym w drugiej połowie w. XIX, w epoce pozytywizmu. Wtedy powieść osiągnęła jeden z kulminacyjnych punktów rozwoju, w okresie mieszczańskiego realizmu, wiążącego się we Francji z twórczością Balzaka, a u nas Prusa. Balzak wspinałymi osiągnięciami swojego realizmu powieść ukłasyfikował jako gatunek i związał ją z pewnym schematem. Wielkość Balzaka sprawiła, że jego powieść stała się systemem odniesienia dla późniejszego rozwoju tego gatunku.

Niedługo jednak po Balzaku występuje w powieści zwrot, rozpoczynający się od naturalizmu. Od klasycznego balzakovskiego realizmu powieść, jak zresztą inne gatunki, zmierza do psychologizmu. Od świata obiektywnego do świata subiektywnego, od społecznego do psychicznego, od realizmu do nadrealizmu.

Tej zmianie pozycji, z których pisarz ustosunkowuje się do tworzywa, by je w formie powieściowej przetworzyć i zorganizować, towarzyszy zjawisko wzrastającego tzw. amorfizmu, rozkładu formy, tej właśnie balzakovskiej, realistycznej. Rozpoczyna się grzebanie w psychicznych wnętrznościach, wymagające z kolei komentarzy powodujących dłużyzny. W miejsce artystycznej analizy świata obiektywno - społecznego wkracza do powieści psychoanaliza. Przynosi to w konsekwencji zmniejszenie się jej komunikatywności, czytelności w sensie społecznym, oraz sprawdzalności w sensie krytycznym.

W związku z tym, powieść jako gatunek przechodzi kryzys. Nowe treści cywilizacji, no - społeczne nie mając możliwości ujawnić się w powieści typu proustowskiego, powieści psychologizującej, przenikają do literatury w formie reportażu. Tak więc w XX w. narasta owo charakterystyczne rozwidlenie klasycznego dziewiętnastowiecznego realizmu: jednostronność, psychologizująca intrawertyczność z jednej strony oraz równie jednostronna, reportażyowa ekstrawertyczność.

3. O NOWY REALIZM.

Można dostrzec, ujmując rzecz z gruba, odpowiedniość pomiędzy rozwojem ogólnie - społecznym i rozwojem powieści. Zarówno bowiem powieść Balzaka jak i powieść Prousta, to powieść mieszczańska. Balzak jest odpowiednikiem kulminacyjnej, szczytowej, zdobywczej fazy mieszczaństwa. Mieszczaństwo zadowolone z siebie, klasowo dojrzałe, społecznie ustabilizowane. Mieszczaństwo stanowiącego podstawową bazę kapitalizmu, wówczas jeszcze towarowego. Natomiast Proust przypada już na okres kapitalizmu finansowego, kredytowego, bankowego, o zwięzłej społecznej bazie. Proust tworzy w okresie postępującego rozkładu kapitalistycznego systemu, rozkładu, któremu towarzyszą perturbacje filozoficzne i światopoglądowe odczuwane przez mieszczańskich ideologów jako katastrofa nie tylko kapitalistycznych form organizacji życia społecznego, umożliwiających i warunkujących obie wielkie wojny światowe, lecz jako coś w rodzaju końca świata. Katastrofizm literacki towarzyszy społecznemu katastrofizmowi burżuazji, jako upadającej klasy, tendencje amorfistyczne w powieści tendencjom rozkładowym ustroju społecznego.

Jest bowiem rzeczą naturalną i zrozumiałą, że inteligent mieszczański wyrzucony przez ustrój na margines życia społecznego

nie będzie w tym życiu społecznym, w jego instytucjach i procesach szukał tworzywa powieściowego. Zwróci się z braku perspektyw społecznych w dziedzinę jednostkowej jaźni, w dziedzinę koronkowej psychoanalizy roboty, tam będzie szukał przygód, sensacji i rewelacji. Nie znaczy to, że na tym terenie nie może być realista i twórcą wielkich dzieł, przecież dzieła Marcela Prousta i Tomasza Manna odznaczają się też, zwłaszcza w niektórych swych partiach, realizmem. Ale realizm psychologiczny jest przeciwny realizmowi społecznemu, jest realizmem na przeciwnym biegunie. I bardzo łatwo może spłynąć w solipsizm. A co może najważniejsze: realizm psychologiczny jest mniej sprawdzalny niż realizm społeczny i grozi mu wskutek tego szczególna łatwość nadużyć.

Tak jak kryzysowi kapitalizmu odpowiada (w bardzo ogólnym zarysie) kryzys powieści, która się właśnie w tym systemie ukłasyfikowała, tak też odpowiadają sobie próby wyjścia z obu kryzysów. W życiu ogólnospołecznym — walce o nową rzeczywistość ustrojową, towarzyszywołanie o nową rzeczywistość w literaturze, w powieści. O nowy realizm, neorealizm, w odróżnieniu od historycznego realizmu mieszczańskiego, typu balzakovskiego.

5. JAKA TRADYCJA.

Kazimierz Wyka w szkicu pt. „Tragiczność, drwina i realizm” (Twórczość — r. 1945, z. 3) ocenia tragiczność i drwinę jako dwie zasadnicze postawy, w których manifestowała się międzywojenna dążeńność młodego, awansującego pokolenia pisarzy, — do realizmu. I jeżeli z tą diagnozą można się zgodzić, trudno jest zgodzić się z usprawiedliwieniem literatury, w tym wypadku powieści, że nie wydała w owym czasie realistycznych dzieł w wielkim stylu. Czytamy tam: „Parweniuszostwo międzywojenne nie było również w stanie dostarczyć pisarzowi materiału dla obiektywnego szasunku. Nie było w stanie dlatego, ponieważ fundamentem podobnego szasunku jest zawsze ujęcie, uznanie przez pisarza typu duchowego społecznie skończonego, na tle obiektywnego porządku swego czasu. Podstawą jest typ duchowy przekazywany przez pokolenia, rozwinięty w ramach postępowego porządku historii. Takim typem był rycerz wojownik w czasie swoim, był nawet zapóźniony rycerz fantasta Czerwanta, był nim szlachcic polski, jest nim na pewno ciagle chłop, jest robotnik w takim porządku społecznym, który nie ma i nie przylumia ich miejsca. Darując, typem epicznym nie jest napewno urzędnik kontraktowy ani zawodowy bezrobotny”.

Nie ze wszystkim w powyższym wywodzie można się zgodzić. Czyż bowiem dla pisarza obiektywną rzeczywistością jest tylko rzeczywistość oficjalna, wyrażająca się w świecie dążeń, pojęć i doznań panującej klasy, elity stojącej na usługach reżimu? Czy nie jest również obiektywną rzeczywistość uciśnianych warstw ludowych, chłopów i robotników, walczących o zmianę owego oficjalnego, uświadconego przez reżim porządku? A przecież walka i praca ruchu ludowego, wyzwalająca poświęcenie i heroizm, wychowująca tegich ludzi poprzez sanacyjne wiezienienia i prześladowania — chyba nie była parweniuszostwem. I chyba dostarczała pisarzowi materiału dla obiektywnego szasunku! Zważasz, że, jak sam Wyka stwierdza, chłop stanowi ów „typ społecznie skończony”, „przekazany przez pokolenia”.

Nie leży w moich intencjach pomniejszanie roli pisarzy reprezentujących w owych latach postawy tragiczności i drwiny. Ale jeżeli już współczesne, powojenne wołanie o realizm chcemy poprzez literacką tradycję prozy międzywojennej, to chyba więcej tu znaczą Kruczkowski, i Wasilewski, i Burek, i Morton, i Kowalski. Ten nurt międzywojennej literackiej tradycji jest chyba najbliższy współczesnym, powojennym postulatom realizmu, realizmu ludowego a nie mieszczańskiego.

6. HISTORYCZNOŚĆ.

Dyskusja o realizmie prowadzona na łamach polskich tygodników społeczno - literackich przyniosła, jak dotąd, nie wiele więcej ponad ogólniki. Mniej więcej wszyscy dyskutanci godzą się na to, że realizm, oczywiście realizm społeczny, jest jedyną właściwą drogą rozwoju powieści. Ze dzisiaj, w epoce wielkich przeobrażeń społecznych, potrzebna jest nam powieść możliwie ścisła, obiektywna, bardziej związana z przebudowywaną rzeczywistością społeczną. Dalej, że wzorzeć balzakovski, aczkolwiek wysoce wychowawczy, nie może być po prostu naśladowany w odmiennym układzie historyczno-społecznym. Wskazuje się przy tym na realizm radziecki, żądający włączenia w realizm współczesny elementów romantycznych, heroicznych, uzasadnionych innym niż u Balzaka stosunkiem do rzeczywistości. Tak np. Gorkij wskazywał, że realista mieszczański ustosunkowuje się krytycznie do własnego ustroju, podczas gdy realista ludowy ma do rzeczywistości ludowej stosunek nie tylko pozytywny ale realistyczny. Ta różnica w postawie społeczno - politycznej powoduje różnice w postawie artystycznej, literackiej.

Zresztą wydaje się być rzeczą jasną, że postawa mieszczańska przeziernie nie tylko z tego ale i z artystycznej techniki mieszczańskiego realizmu. Technika artystyczna, to sprawa nie tylko „techniczna”, jest ona zwykle powiązana z tym co się określa światopoglądem i ideologią. Z drugiej strony jest

rzeczą naturalną, że realizm obecny musi być budowany w oparciu o literackie tradycje, bez względu na to, czy to są tradycje mieszczańskie, czy zgoła feudalne. W „Iliadzie” Homera czy w „Boskiej Komedii” Dantego są przecież rzeczy większe, aniżeli systemy społeczne, w których dzieła te powstawały. Ale jak w tradycji literackiej pomnażanej i wzbogacanej przez pokolenia odróżnić elementy kwalifikujące się do odrzucenia i no wym układzie społecznym od elementów „nieśmiertelnych”? Sprawa to bardzo trudna i bardzo istotna.

7. DWA KRYTERIA.

Chyba nie ulega wątpliwości, że powieść, jak zresztą wszelki utwór literacki (w stopniu mniejszym lub większym, bardziej lub mniej bezpośrednim) sprawdzalna jest podwójnie: 1) w kategoriach ściśle literackich (wewnętrznych) i 2) w kategoriach społeczno - historycznych, pozaliterackich (zewnętrznych). Krytykujemy powieści z jednej strony pod względem ich kompozycji, techniki, stylu, języka, za pomocą ich konfrontowania z zastanymi schematami i konwencjami, z drugiej strony sprawdzamy je społecznie. W jaki sposób? Jeżeli powieść jest sui generis uwikłaniem jednostkowych losów ludzkich w odpowiedni społeczno - historyczny kontekst, analizujemy ten kontekst powieściowy, siły w nim występujące, ich wzajemne ustosunkowanie i proporcje oraz ze stawiamy wyniki tej analizy z naszą obiektywną wiedzą o tej epoce, która, przynajmniej w wyniku, jest przedmiotem powieści. I jeżeli kontekst powieściowy, artystyczny, jest spójny, zgodny z kontekstem społecznym - historycznym, obiektywnym, realnym, — powiadamy, że powieść jest artystycznie prawdziwa.

Pojęcie prawdy artystycznej nie jest jednak takie proste, jak by się na pozór wydawało. Nie jest proste, dlatego, że powieść przemawia językiem sztuki, a historia i socjologia językiem nauki.

Języki te są wzajemnie nieprzekładalne. A przecież chcąc powieść sprawdzić społeczno - historycznie, musimy przełożyć (ale nie powieść, tylko całkowity jej wynik artystyczny a nie tylko „realia”) wrażenie wywierane przez nią na nas — na język nauki.

Kiedy dyskutujemy o realizmie, obracamy się przede wszystkim w sferze owej zewnętrznej sprawdzalności powieści aczkolwiek nie możemy tego robić odrywając badaną powieść od literackiej tradycji, od literackich konwencji, na tle których powstała. O realizmie decyduje jednak niewątpliwie stosunek powieści do realnego materiału, surowca, jaki ona przetwarza, przy czym interesuje nas nie tylko wybór surowca ale i sposób jego przetwarzania.

8. TENDENCYJNOŚĆ.

W jakim stopniu czy w jakim sensie realistyczna powieść społeczna, której niewątpliwie pragniemy, ma być ideologiczna i tendencyjna? Zdaje mi się, że z tą tendencyjnością jest wiele nieporozumień, spowodowanych zaciekawieniem politycznym.

Georg Lukacs, wybitny krytyk radziecki, w swej pracy o realizmie, której rozdział dotyczy „Chłopów” Balzaka, drukowany był w przekładzie P. Hertza w „Twórczości” (październik 1945) pisze m. in., że „wielkość Balzaka polega właśnie na tym, że postronnie obserwuje wszystkie występujące na zewnątrz sprzeczności i daje im wyraz. Oczywiście, że w tych sprzecznościach Balzak widzi upadek świata, klęskę i kres cywilizacji. Jednakże mimo to Balzak przedstawia owe sprzeczności i dochodzi przy tym do głębokiego wnioskowania w przyszłość”. Reakcyjność ideologiczna i polityczna Balzaka nie zdołała więc umniejszyć prawdy artystycznej jego powieści.

Wydaje się, że powieść powinna być tendencyjna, ale nie poprzez polityczną ideologię autora. Tendencyjność winna być wpisana w fakturę dzieła. Chyba fakty ukazywane w powieści są najważniejszą w sztuce ideologią. Historia jest postępową i jeżeli oblicze jej zniekształcone zostanie przez pisarza, zarzucimy mu nie reakcyjność, ale właśnie brak realizmu.

Ważny znana powieść Kruczkowskiego „Kordian i cham”. Jest to powieść i realistyczna i tendencyjna niewątpliwie. Powieść ta przemawia do nas artystyczną prawdą. Ale przemawiałaaby do nas jeszcze mocniej i rzetelniej, gdyby polityczna postępowość autora nie podsunęła mu artystycznych ułatwień w kreśleniu sylwetek zarówno postępowych jak i reakcyjnych. W sztuce idzie się naprzód raczej poprzez utrudnianie sobie zadań aniżeli ułatwianie. Powiem krótko: społeczny realizm w powieści nie wymaga postępowej ideologii politycznej autora, bo jako realizm już jest postępowy.

9. SOCJOGRAFIA POWIEŚCIOWA

Obok niewłaściwie pojmanej tendencyjności czy ideologiczności grożą realistycznej powieści niebezpieczeństwa ze strony... socjologii. Zważasz wtedy, gdy pisarz chce poszerzyć teren społeczny widzialny w powieści oraz ukazać masowość zjawisk prezentuje nam wielką liczbę postaci. Niebezpieczeństwo to występuje w sposób klasyczny w wydanej niedawno trzytomowej powieści Juliana Gałaja pt. „Myszkowice wioska mała”. W tej „gromadkiej” powieści (przedstawia bowiem dzieje gromady wiejskiej w przekroju historycznym kilku dziesięcioleci lat) bohaterowie zbyt są zdeteterminowani

przez bio-ekonomiczne warunki, a przez to zbyt nudni. Odwrót od psychologizmu poszedł tu, jak sądzę, zbyt daleko.

Pzekroczenie przez pisarza pewnego obserwacyjnego dystansu prowadzi bowiem do tego, że ukazywani w powieści ludzie widziani są wyłącznie w generalnych determinantach biologii i ekonomii z uszczerbkiem dla motywów psychologicznych. Powieść zamienia się w socjografię.

Socjologia czy też socjografia zajmują się typami ludzkimi w ich zewnętrznym uwarunkowaniu, podczas gdy literatura nie może obejść się bez psychologicznej indywidualizacji w granicach socjologicznych typów. Pisarz nie może dopuścić do tego, by czytelnik z góry wiedział, jak zachowa się bohater wyłącznie na podstawie uprzednich danych o jego społecznej pozycji. W powieści musi występować element niespodzianki, bowiem: niespodzianki obiektywnej (choć nie mam pewności, czy terminu tego używam zgodnie z intencją jego autora — K. Wyki). Mówiąc jeszcze inaczej, choć może zbyt po grecku: idiograficzność powieści winna być wpisana w jej nomotetyczność. Indywidualność i niepowtarzalność przedstawianych w powieści faktów, postaci i sytuacji winne być socjologicznie uzasadnione.

W związku z tym chciałbym zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa, wyłączności socjologicznej krytyki literackiej, jaką tu w swoim referacie stosował Leonard Sobierajski.

10. PLANOWANIE W LITERATURZE.

Zanim przejdę do próby sformułowania „programu” współczesnej powieści polskiej, chciałbym się pokrótce zastanowić nad sensownością tego rodzaju przedsięwzięcia.

Czy jest sens planować i wysuwać programy w twórczości literackiej? Sądzę, za liryzmowskim (por. „Programofobia” w zbiorze „Słoń wśród porcelany”), że program pożyteczny jest chociażby przez to, że odbiegając od niego wiemy przynajmniej, od czego odbiegamy. Wydaje mi się jednak, że istota rzeczy polega tu nie na samej egzystencji programu, ale na jego charakterze, założeniach i granicach.

Przede wszystkim musimy pamiętać, że do utworu literackiego prowadzi drogą od surowca czyli od faktów pozaliterackich poprzez świadomości intelektualną do świadomości artystycznej dysponującej narzędziami formalno - technicznymi. Te cztery elementy są warunkami koniecznymi.

Druga sprawa: program musi uwzględnić literacką tradycję, ponieważ bez tego mógłby się okazać fantazją i zawisnąć w próżni.

Trzecia sprawa: w literaturze, tak jak w ogóle w twórczości kulturalnej wyższego rzędu, planować można tylko podstawowe tendencje, nie można zaś planować szczytowych i szczegółowych osiągnięć. Mamy więc tu do czynienia z planowaniem niezupełnym.

Wypływa stąd teza czwarta: w planie należy odróżniać konieczność od możliwości, a forsując jeden typ możliwości nie wolno traktować go jako konieczności. Teza piąta: koniecznością jest próg formalno - techniczny, podczas gdy do możliwości należy w zasadzie dziedzina treści.

Teza szósta: wobec tego walczyć trzeba o treść.

Teza siódma: utwory pojawiające się na marginesie programu należy poddawać zastrzeżonemu rygorom formalno - technicznym i w wypadku ich wybitnych osiągnięć należy im się szacunek ze strony krytyki.

Przy tym wszystkim nie zaskodzi uwaga następująca: cała rzecz dzieje się w republice prawdopodobieństwa, a nie pewności. Należy unikać apodyktyczności i fanatyzmu.

11. O NOWĄ TREŚĆ

A teraz zyczenia pod adresem powieści. Niech to będzie powieść wpisująca losy ludzi w obiektywny świat fizyczny i społeczno-historyczny. Niech się w niej coś obiektywnego dzieje. Niech nas swoją artystyczną prawdą informuje o świecie i umożliwia głębię uczestnictwa w dokonywujących się przeobrażeniach. Niech wypracowane dotąd mieszczańskie schematy powieściowe wypełni treściami ludowej, chłopskiej i robotniczej teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Niech poprzez zastrzyk nowych, ludowych treści zdąży do nowych form.

To nie, że mieszczańska technika powiązana jest z mieszczańskim „światopoglądem” czy „konceptacją świata”.

Nie sądzę, byśmy ze względu na „ostrożność” mieli iść do powieści ludowej poprzez powtórne podnoszenie jej ze straganu, jak proponuje J. Al. Król.

Ale jeżeli pisarz podejmie nowy, ludowy temat, jeżeli napełni utwór ludową problematyką, to przecież poprzez oryginalność treści, wątków, stylu, chwytów, języka osiągnie oryginalność formy, choćby startował nawet z balzakovskiego wzorca. W swoim czasie w recenzji o „Oberku Świętokrzyskim” Ogi — Michalskiego, drukowanym w „Twórczości” (styczeń — 1946) zwróciłem uwagę na to, jak się te sprawy mają w poezji.

A przecież treści ludowe wołają wielkim głosem o obywatelstwo w literaturze.

Chociażby historia chłopów, olbrzymi, niektórzy prawie przez powieść szmat dzieł polski.

Czy jakimś pisarzowi przyszło do głowy napisać powieść np. o wyprawie pod Wiedeń w r. 1683, w ten sposób, by ukazać jak owe historyczne wypadki załamywały się w przeżyciach prostych ciurów, jak pod oficjalnością husarskich skrzydeł kształtowały się ponure losy pańszczyźnianego ludu?

Powieść trzeba uspołecznic i zhumanizować! O tym, jakie tematy współczesnego życia czekają na opracowanie powieściowe, mówi pięknie minister Szyr.

Tak więc zagadnienie powieści współczesnej jest w moim przekonaniu zagadnieniem przede wszystkim jej treści.

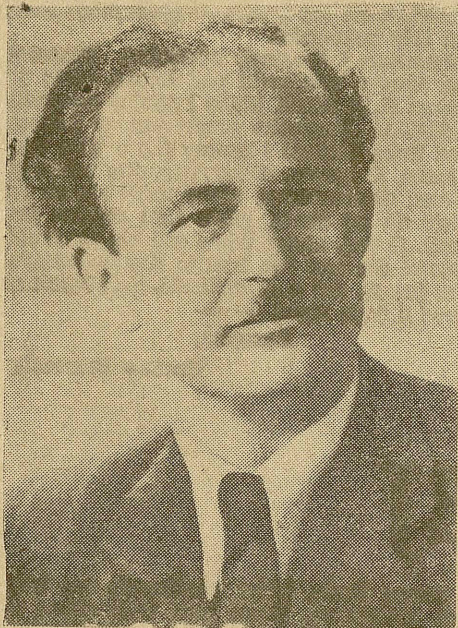
AKT I.

SCENA przedstawia izbę śląską. Z lewej drzwi z podwórza, z prawej drzwi do sąsiedniej izby. W tyle okna otwarte. Umeblowanie skromne. Na ścianach obrazy świętych.

PROLOG

Na scenie zamyślony Dudziarz, starszek białowłosy.

DUDZIARZ: Lud prosty, uczciwy, bogobojny, pracowity, szczerzy i otwarty. Lecz ciężki, twardy i nie znający litości los nęka go od wieków niewola. Czyż nie ma sprawiedliwości! Czyż nie wszędzie i dla niego kiedyś słońce wolności! Czyż ciągle bat pański smażyć musi te przygięte z trudu plecy! Chodzę tak między ludźmi i słucham, co gadają. I słyszę płacz, narzekania i przekleństwa na psią dołę... I słyszę czasem słowa zwątpienia, a czasem słowa ostrego buntu przeciw niespra-



Gustaw Przeczek

wiedliwemu porządkowi świata. Lud ten, miłujący nad wszystko spokój, gotów jest jednak zbuntować się, zerwać z rak ciężące kajdany i odetchnąć wolnością. Bunt wzbiera w piersi tego ludu — i przyjdzie raz chwila, kiedy dojrzej, kiedy przeleje się, a wtedy poleje się krew i runie stary, zmurszały świat.

Przez okno słychać rozmowę dwóch chłopów. Dudziarz oparty o kij milczy zadumany — i słucha.

GŁOS I.: Straszne słychać wieści — Pano wie nas mądrują, pracą i nahajem zabijają, piją krew z żył naszych jak pajak — już ani żyła nie trysnie spod piekących powiek.

GŁOS II.: Wójta Szabestę wturcili do lochu, pewnie wiatr jutro po nim zaszlocha — i nowy ciężar zawiśnie na piersiach, nienawidnie buchne pożarem i zapali proste serca... lecz to nic nowego, to wszystko stare.

GŁOS I.: Biją nahajką, poniewierają, poniżeniem darzą i dziesięć razy srogo ukarzą, zanim trochę swej łaski pokażą. Nie dość, że męczą ciało, duszę jeszcze gniją skałą, wyrwają serce z piersi i beczczą, co najświętsze...

GŁOS II. (stłumionym głosem): Gwałcą żony, córki nasze, hanbią ojcowe poddasze — a tu milcz i schylaj karku i tocz krwi krople po kropki na pańskim folwarku.

GŁOS I.: Coraz cięższe nasze życie, coraz bardziej dzień nas gniecie, krew nam z żył wyciska, a bieda wyszczerza zębiska.

GŁOS II.: Lud tego nie wytrzyma i powstanie — zamiast potu krew spłynie po łanie i — może wicher rozmiota kości naszych prochy, a może... wolność nas pokocha —

GŁOS I.: Trzeba kogoś, co by poprowadził, dał nam wskazówki i dobrą radę, zachęcił, zjednoczył, słoneczka nalał w gasnące już oczy.

GŁOS II.: Wierzę, że ta chwila raz nadejdzie. Będzie ranek cudny, miły, słońce ranne wszędzie, padnie hasło z ust młodych doniosłe, aż skłonią drzewa wierchołki wyniosłe. — I pójdzie naród, potoczy się jak rzeka, której nic nie wstrzyma.

GŁOS I.: Tak myślę o Ondraszku Szabestowym, który kiej na groniu krzyknął, dziad we Frydku ze strachu kleknął...

GŁOS II.: Dobry był, czuły na krzywdę ludzką. Szkoda, że go tutaj nie ma, nie pozwoliłby na wyrządzenie krzywdy swemu ojcu.

(Głosy cichną).

DUDZIARZ (jakby się ocknął ze snu). Niezadowolenie rośnie, rodzi się myśl nowa odrodzenia, zmiany na lepsze... Szukają, jeszcze poomacku, ale przyjdzie czas, kiedy zadrzą pańskie progi z trwogi, lud wolny powstanie — przyjdzie, przyjdzie ono, już niedalekie ranne światło...

Kurtyna opada, po czym podnosi się na nowo. Dudziarz znika.

SCENA I.

Na scenę wchodzi Hanka, wychowanka wójta Szabesty.

HANKA: Kaj się podziela ta radość, która do niedawna gościła w tych ścianach. Telki roki były mi one drugim kochanym domem przybranych ojców, a teraz przyjdzie mi znowu udać się na sierocą tułaczkę (pukanie we drzwi z lewej).

HANKA: Proszę dalej (Wchodzi Marycza).

MARYCZA: Niech będzie pochwalony Pan Jezus Chrystus.

HANKA: Na wielki wieków. Cóż was tu sprowadza?

MARYCZA: Jestem znajoma Ondraszka,

Gustaw Przeczek

ONDRASZEK

Fragment sztuki wyróżnionej w konkursie „Wsi”

syna Szabesty, który jest wójtem w tej dziedzinie. Czy dobrze trafiłam?

HANKA: Tak. To nieszczęsny dom byłego wójta Szabesty.

MARYCZA (porywczo): Jaki to był? Co to znaczy?

HANKA (smutnie): Dużo tu trzeba opowiadać.

MARYCZA (j. w.): Mów... prędko... prędko...

HANKA (powoli): Wójt Szabesta, mój przybrany ojciec, jest zamknięty w lochach dworu pańskiego.

MARYCZA (płonąć całą): Za co? Co zrobił takiego, by go aż do więzienia wrzucić było trzeba?

HANKA: Według naszej sprawiedliwości — nie, lecz według pańskiej — zbrodnie...

MARYCZA: Jak to? Nie rozumiem. Znam go, kiedy był w mieście u syna swego Ondraszka, wtedy studenta, jako człowieka szlachetnego i zrównoważonego. Jakiej to zbrodni według pańskich pojęć mógł się dopuścić?

HANKA (powoli): Stawał w obronie krzywdzonych gospodarzy (chwila ciszy).

MARYCZA: Więc za to, że bronił skrzywdzonych, wrzuceno go do więzienia? — Nie, to niemożliwe.

HANKA: Jest możliwe! bo to wszystko, co tu powiedziałam, jest prawdą! Nie mogę równie zamilczeć o tym, jak go batami okładano tutaj przed naszymi oczyma... a kiedy tracił przytomność, oblewano go zimną wodą i bito na nowo... Musiałam patrzeć na jego straszne męczarnie, który był dla mnie, sieroty drugim kochającym ojcem (płacz).

MARYCZA: Więc to wszystko jest prawdą! Wierzyć się nie chce! Czyżby oni zdolni byli to uczynić, czyżby aż na tyle zatracili swe serca ludzkie!... Nie, pójdę i sama przekonam się.

HANKA (z lękiem): Nie idźcie tam, bo z pewnością nie powróciecie już...

MARYCZA: O nie! nie bój się, nie mi się nie stanie! Jestem krewną państwa z waszego dworu.

HANKA (z lękiem, bez ruchu patrzy na nią).

MARYCZA: Nie lękaj się! Jestem inna od tamtych, których się boisz.

HANKA (wahając się): A skąd znają Ondraszka?

MARYCZA: Ondraszka poznałam w mieście, gdzie chodził do szkół. Wiem, że porzucił już dawniej studia, dlatego przyszedł tutaj, by się znowu z nim spotkać...

HANKA (z rumieńcem, speszona): Dlaczego chcą się z nim spotkać?

MARYCZA (świdując ją oczyma): Chcę się z nim spotkać, a tłumaczyć się przed tobą nie mam ochoty, bo cię to nie nie obchodzi... Do widzenia (odchodzi).

HANKA (chwila patrzy na drzwi, za którymi zniknęła Marycza): Więc ona zna moje go Ondraszka... Boże, ona mi go chce zabrać... Nie, to jest niemożliwe (z błyskiem w zreniacach). Bronić go będę do ostatka — on... jest mój do śmierci.

(Chwila stoi bez ruchu jak martwa, potem klęka przed obrazem N. P. Marii i modli się). Najświętsza Panno, która jesteś taka dobra, taka litościwa, nie pozwól, aby mi zabrano mego Ondraszka.

(Z drugiego pokoju odzywiają się jakieś szmery).

SCENA II.

SZABESTOWA (woła spoza drzwi): Hani- czko!

HANKA: Już idę (idzie do drzwi, lecz te się otwierają i w nich pojawia się Szabestowa).

HANKA: Czemuście wyszli z łóżka, tacyście słabi... Siednijcie sobie tu na ławie.

SZABESTOWA: Musiałam... Ni mogę wydzierać w łóżku. Czy już przyszedł Ondraszek z wojska?

HANKA: Każdej chwili może przybyć! Pawlik spod krepki już przedwczo-raj udał się po niego.

SZABESTOWA: A jak go nie puszczą z wojska?

HANKA: Nie bójcie się. On naisto przyjdzie... kajby też nie przyszedł do was... dyć was tak miłował...

SZABESTOWA: Hani- czko! niech ci to Póńbózek wynagrodzi, żeś taka dobra dla mnie... (po chwili). A co jest z moim Pawliczkiem?

HANKA: Nic nie wiem... mówią, że go zamknęli w lochach dworskich...

SZABESTOWA: Gdyby go choć na chwilę puścili, aby się jeszcze ze mną pożegnał na świecie.

HANKA: Ale nie mówcie tak, przeca go tak długo tam nie będą trzymali...

SZABESTOWA: Hani- czko! — mój koniec się już zbliży, jo to czuję. Śmierć już stoi za płotem i kiwie na mnie palcem, trza mi się zabierać. Ach, gdyby już przyszedł — Pawlik z Ondraszkiem, bym się mogła z nimi jeszcze pożegnać.

HANKA (z płaczem): Nie mówcie tak, przeca jeszcze będziecie żyć długo...

SZABESTOWA: O, ni... Hani- czko, ni... (Pukanie).

Wchodzi Gajdzioczek.

GAJDZIOCEK: Pochwalony.

HANKA i SZABESTOWA: Na wieki.

GAJDZIOCEK: Jak się macie wójtowo?

SZABESTOWA (mówi z trudem): Bardzo biednie... Już się ostatnio chwila zbliży. Z czym tu do nas przychodzicie?

HANKA: Czy wiecie co tam s nimi jest we dworze — wy tam mieszkacie blisko, to może dowiedzieliście się czegoś...

GAJDZIOCEK: Właśnie przynoszę wieści. SZABESTOWA (przerzywa): Mówcie.

GAJDZIOCEK: Złe wieści przynoszę.

SZABESTOWA: Możliwe go zaś bili...

GAJDZIOCEK: Nie bili już... bo...

SZABESTOWA (z krzykiem): Boże (prze- wraca się na ławie zemdlona).

HANKA (z płaczem rzuca się na kolana).

SCENA IV.

Wchodzi Ondraszek w stroju śląskim. Chwila rozgląda się, spostrzega matkę leżącą na ławie, więc przyskakuje do niej i klęka obok. ONDRASZEK: Matulo najdroższa, co wam jest? Odezwiście się, to ja jestem, Wasz Ondraszek, który przybył z wojska na wasze wezwanie.

SZABESTOWA (wraca do przytomności): Kto tu jest przy mnie?

ONDRASZEK (z bólem): To ja, Ondraszek, kochana matulo.

SZABESTOWA: Przyszedłeś... a więc pu- ścił cię!

ONDRASZEK: Nie puścili... musiałem uciec!

SZABESTOWA: Nie chcieli cię puścić, ja to przeczuwałam, ale to dobrze, żeś jeszcze przyszedł ze mną się pożegnać... Chcę ci jeszcze dużo powiedzieć.

ONDRASZEK: Co mówicie, matulo! Nie rozumiem! Przecież jeszcze będziecie żyć, musicie żyć!

SZABESTOWA: Ondraszku! Dziecko me kochane! Moje godziny już są policzone.

ONDRASZEK (nagle wstaje i nieustępliwym wzrokiem wodzi dokoła): Co się tu stało? powiedzcie mi, bo nie wytrzymam! Mam, co znacząca te uderzenia na szyi?

SZABESTOWA (z trudem, ciężko oddychając): Przebac im, synku, niech ich Póńbózek sędzi!

ONDRASZEK (w rozpacz): A kaj ojciec? (Chwila milczenia).

ONDRASZEK (głośnie): Kaj są ojczulek?

HANKA (płacz głośno).

GAJDZIOCEK: Ondraszku, już nie masz tutulka!

ONDRASZEK: Kaj są?! co się z nimi stało?! Mówcie! Na Boga! Prędko mówcie!

HANKA (przez łzy): We dworze... ich zamęczyli...

ONDRASZEK (zdaje się nie rozumieć): Co?

HANKA (j. w.): Zamęczyli ich...

ONDRASZEK: Oni... (chce wybiec z izby).

SZABESTOWA: Ondraszku!

ONDRASZEK (zatrzymuje się).

SZABESTOWA: Ondraszku! na łóżu śmier- telnym proszę cię: zostaw zemstę Panu Bo- gu. On jest sprawiedliwy, wszystko widzi i wszystko wie...

ONDRASZEK: Mamulko, jak mam wytrzy- mać, kiej mi was pobili a tatulka umczyli.

SZABESTOWA (prosząc): Synku mój, zo- staw zemstę Póńbózkowi... proszę cię o to...

SCENA V.

Wchodzi lokaj dworski.

LOKAJ (stojąc przy drzwiach, tonem urzędowym): Z polecenia Jego wysokości hrabi- ego Prażmy oznajmiam, iż Szabestowa, żona byłego wójta Szabesty, ma się udać zaraz do dworu na roboty.

SZABESTOWA (z wysiłkiem): Jak mam iść, kiedy ani wstać nie mogę.

LOKAJ: To mnie nie obchodzi. Rozkaz musi być spełniony!

ONDRASZEK (tonem nieprzejednanym): Rozkaz nie będzie spełniony!

LOKAJ (podniesionym głosem): Co? (zbli- ża się do ławy).

ONDRASZEK (zastępuje mu drogę): Ani się ruszyć nie waz!

LOKAJ (j. w.): Precz z drogi! Coś ty za jeden?!

ONDRASZEK: Jestem Ondraszek, ich syn.

LOKAJ (zdziwiony): Jak to jest możliwe?!

Nie otrzymałeś przecież zezwolenia na urlop z wojska.

ONDRASZEK: Sam sobie wziąłem urlop.

LOKAJ: A więc deserter. Pójdziecie do dworu więc obydwójce.

ONDRASZEK: Nie!

LOKAJ (chce go uderzyć nahajką).

ONDRASZEK (usuwa się).

LOKAJ (uderza Szabestową): Wstawaj i chodź do dworu!

ONDRASZEK (z pasją): Coś ty zrobił, by- dle! (chwytając go z tyłu i wyrzuca na podwo- rze): Zdychaj!

HANKA: Ondraszku! umierają!

ONDRASZEK (rzuca się obok na kolana): Matulko!

SZABESTOWA (ostatnim wysiłkiem): On- draszku... za chwilę odejdę... na zawsze... Więc cię proszę jeszcze raz... abyś zaniechał zemsty... Póńbózek jest sprawiedliwy...

ONDRASZEK: Matulo... tyle krzywdy nam przebaczyć?!

SZABESTOWA: Przebac synku!... Wiesz o tym, że tatulek już poszedł — a ja idę za nim... nie zapomnij więc o naszej chudobie... i o Hance — która mnie ani na chwilę nie opuściła...

ONDRASZEK: O wszystkim będę pamiętał!

SZABESTOWA (kładzie ręce na głowach Ondraszka i Hanki, umierając): Pamiętaj... zawsze... co ci... powiedziałam... Przebac wszystkim... i największe... krzywdy... — a

Pan Bóg... dobrotliwy... o tym... nie za... po...mni...

ONDRASZEK: Matulu!

GAJDZIOCEK: Ondraszku! za późno już biadać. Twa matka już nie żyje... Trzeba ją przenieść do jej izby na łóżko.

ONDRASZEK (wstaje i patrzy tępa zreni- cą przed siebie).

GAJDZIOCEK i HANKA (biorą ostroż- nie Szabestową i wynoszą na prawo do są- siedniej izby).

ONDRASZEK (sam): Zostałem na ojcow- skiej chudobie. Czeka mnie najpierw ciężka kara — a potem poniżenie i zwierzęca ha- rówka.

SCENA VI.

Wchodzi Juraszek.

JURASZEK: Cóż ci to, Ondraszku, żeś ta- ki zatroskany?

ONDRASZEK: Trudno mówić, gdy serce poszarpane w kawałki, a dusza ludzka zde- pchana.

JURASZEK: A więc to wszystko prawda, co ludzie gadają, że ojciec twój już nie żyje?!

ONDRASZEK: Prawda to... Lecz jeszcze gorsze spotkało mnie nieszczęście, bo uko- chana moja mamulka teraz umrzyla.

JURASZEK: Więc zostałeś sierotą!

ONDRASZEK: Czeka mnie poniewierka i praca.

JURASZEK: Ondraszku! Jeszcze nie wszystko powiedziałeś, wiem o tym — i dla- tego ty nie możesz zostać w domu, bo cze- ka cię tu większe zło, aniżeli sobie myślisz!

ONDRASZEK: Co mi takiego strasznego grozić może?

JURASZEK: Czyś nie potulił lokaja dworskiego? Cała wieś już o tym wie. We dworze ruch — zbierają hajduków, by cię schwytają i ułbić na śmierć.

ONDRASZEK: Nie tak łatwo im to pójdzie. Nie znają jeszcze Ondraszka Szabestowego!

JURASZEK: Ondraszku! Cóż zrobisz prze- ciw kilkudziesięciu uzbrojonym?

ONDRASZEK (patrzy pytająco na Jurasz- ka): Co mi więc wypadło robić?!

JURASZEK: Uciekać!

ONDRASZEK (tępo): Kaj?

JURASZEK: W nasze góry. Tam mogą szukać wiatru co gra na jędrach. Nie będziesz tam sam. Inni już ostrzą swe ciupagi. Ja idę z nimi.

ONDRASZEK (wahając): Nie mogę rzu- cać swej ojcowizny, której kazała mi strzec umierająca matka.

JURASZEK: I tak jej nie ustrzeżesz, kiedy cię tu nie stanie...

ONDRASZEK (jakby do siebie): Więc mam odejść i rzucić wszystko na pastwę losu?

JURASZEK: Nie na zawsze. Chaty będzie pilnować Hanka do tego czasu, aż będziesz się mógł wrócić.

ONDRASZEK (smutnie): Ale kiedy to na- dejdzie?!

JURASZEK: To będzie zależeć od nas sa- mych. Nie bój się, jest nas więcej!

ONDRASZEK: Ty też?

JURASZEK: Ja także! Nie mam już nic. Porwano mi młodą żonę, a chatępu puszczono z dymem. Nic innego mi więc nie pozostaje, jak zemścić się...

ONDRASZEK: Zemstę powinniśmy zos- tać Bogu, który jest sprawiedliwy.

JURASZEK (ironicznie): A gdzie jest ta sprawiedliwość?!

Tobie zamordowano rodzi- ców, mnie zabrano żonę i pozbawiono chu- doby. Więc to ma być sprawiedliwość?!

Ondraszku! nie ma na świecie sprawiedliwości, musimy więc jej szukać sami!

ONDRASZEK: A przecież — trudno mi...

JURASZEK (j. w.): Dziwię ci się, Ondrasz- ku, bo dotychczas innego cię nie znałem.

ONDRASZEK: Ale matulo...

JURASZEK: Zamordowano ci ją — może jeszcze morderców błogosławić będziesz...

ONDRASZEK: Na Boga, nie mów dalej!

SCENA VII.

Wchodzi Dudziarz z przewieszonymi przez plecy dudami, kijem tułaczym się podpierając.

DUDZIARZ: Niech będzie pochwalony, ONDRASZEK i JURASZEK: Na wieki.

DUDZIARZ: Przychodzę z ważną wieścią do ciebie.

ONDRASZEK: Mówcie!

DUDZIARZ: Wiem, że pierś twoja przepeł- niona jest bólem po stracie twoich najdroż- szych rodziców...

ONDRASZEK (milczy — w bezruchu, za- patrzony w dal).

DUDZIARZ: Nie chcę rozdzierać twych ran — ale są chwile, kiedy trzeba zapomnieć o własnym bólu i kiedy trzeba poświęcić się dla dobra innych.

ONDRASZEK: Za wielki ciężar przygniata barki.

DUDZIARZ: Każde cierpienie czyni czło- wieka większym, lepszym, doskonalszym i odporniejszym...

ONDRASZEK: Do czego zdążacie dziadku?

DUDZIARZ: Dużo się zmieniło w ostatnim czasie, kiedy ty służysz w wojsku. Obraz te- go wszystkiego zarysowuje się przed twymi oczyma twym własnym nieszczęściem... Ale to wszystko nie w porównaniu do tego ogro- mu rozpacz całego ludu jęczącego pod ba- tem wszechwładnego pana, pana życia i śmierci tego prostego wiejskiego ludu. Nie ma domu, gdzieby nie lały się łzy, pełno wszędzie ran, z których broczy krew. A te łzy i krew rodzą w duszy bunt — jak pożar...

ONDRASZEK: Za małą pierś ludzka, by go pomieścić.

DUDZIARZ: I nie nie ugasi tego pożaru. Nadchodzi czas, kiedy lud

ONDRASZEK (patrzy pytająco na Dudziarza).

DUDZIARZ: Co obecnie chce powiedzieć, do ciebie się odnosi. Oto tłum skrzywdzonych znając ciebie, twą prawosć, znając twego ojca, wzywa cię, byś na ich czele stanął, pomścił krzywdy i wywalczył lepszą przyszłość dla potomków naszych.

ONDRASZEK: Wasze słowa są płomieniem, który nową siłą wlewa się w moją duszę, lecz... to jest zbyt śmiało i straszne przedsięwzięcie, nie zgadzając się z ostatnią wolą mojej matki, która przed śmiercią prosiła mnie, bym im przebaczył.

DUDZIARZ: Ja, który już sto lat kołaczę się między tym śląskim ludem, dość napa-trzyłem się na męki i okrucieństwa, którym męczono ten lud o sercu miękkiem jak wosk pszczeni na psiekach. Dużo ten lud już wycierpiał i gotów jeszcze wycierpieć, ale dobre duchy chcą go ratować, chcą polepszyć jego los twardy i nieublagany. Padł już potężny zew. Dziesiątki ciupag ostrzy się już w borach odwiecznych. Ty, Ondraszku, jesteś ich słońcem, więc musisz wykorzystać swą władzę nad nimi i poprowadzić ich w jaśniejszą przyszłość.

ONDRASZEK: Ale — czy ja sprostać zadaniom, nałożonym na me barki?!

DUDZIARZ: Sprostasz, tylko musisz mieć wiarę, silną wiarę, która daje moc duszy i mięśniom.

ONDRASZEK: Nie mogę się zdecydować. JURASZEK: Ondraszku! przypominam, że to jedno twe wyjście. Za niedługo tu będą dworscy, a wtedy... będzie już zapóźno.

ONDRASZEK: Boże, jak tu opuścić matkę na śmiertelnym łożu!

DUDZIARZ: Czyliż ja się mylę, żeś Ondraszek, ów wybrany losu, przeznaczony do

stworzenia całemu ludowi śląskiemu lepszej doliny... Ow Ondraszek nie powinien się nigdy wahać, gdy idzie o szczęście wszystkich. Strzeż się samolubstwa. Idź na wioskę, pomiędzy chaty i słuchaj: spod każdej strzechy słyszeć lamenty i przekleństwa na tych tyranów, a ty się wahasz im pomóc, myśląc tylko na siebie!?

ONDRASZEK (zdecydowany): A więc pójdę... lecz nie mścić się, ale polepszyć dole uciemięzonych braci.

DUDZIARZ (natchnionym głosem): Ja widzę tłum ciupag błyszczących stałą, Ja widzę żrenice, które się palą świętym ogniem czynu! Widzę pierś twar-dą,

która sięga śmiało po lśniąca gwiazdę szczęścia ogółu... — lecz, co widzę — na Boga, tam w dali jakaś ciemna biegnie droga, a na niej serce krwawiące umiera latowierne! Ondraszku, nie wierz wro-gom!

(odchodzi).

SCENA VIII.

Wchodzi z prawej — Hanka i Gajdzioczek. HANKA: Kto tu był? Słyszałam jakiś pod-niesiony, trzęsący się głos.

ONDRASZEK: Był tu Dudziarz.

HANKA: Ów wieszeczek, co od lat chodzi od wioski do wioski i opowiada o jakichś cudach bożych, które się wkrótce stać ma-ją. — I co chciał od ciebie?

ONDRASZEK: Kazał mi domagać się spra-wiedliwości dla pokrzywdzonych.

HANKA (tłknięta złym przecuciem): I pój-dziesz?!

ONDRASZEK: Pójdę... bo muszę... waha-tem się długo — ale — jakiś wewnętrzny

głos nie daje mi spokoju i wciąż nagli mnie do pośpiechu. Zresztą tu zostać nie mogę, bo po tym co się stało, nie mogę spodziewać się łaski z dworu.

HANKA: A matka...

ONDRASZEK: Wjem... lecz — nie mogę inaczej. Haneczko, zajmij się wszystkim za mnie — myślę, że w krótkim czasie będę mógł powrócić.

HANKA: Ondraszku, czy będziesz pamię-tać na mnie... która... (cichy płacz).

ONDRASZEK: Haneczko, nie zapomnę... powrócę... powrócę, — ty podczas mojej nie-obecności pilnuj ojcowizny!

Wchodzi z pośpiechem Marycza.

MARYCZA (staje przed Ondraszkiem i patrzy mu w oczy).

ONDRASZEK (zaskoczony): Marycza... skąd się wzięłaś tutaj?

MARYCZA: Przyszedłam do ciebie — by się dowiedzieć niemiłych rzeczy.

ONDRASZEK: Krzywdzą mnie twoi krew-ni.

MARYCZA: Nic na to poradzić nie mogę. Tyś dla nich tylko zwykłym chłopem, z któ-rym można robić, co się im tylko podoba. Dlatego musisz uciekać. We mnie masz przy-jaciółkę i opiekunkę — która cię obroni...

ONDRASZEK: Bardzo dziękuję. Nie po-trzebuję opieki. Idę szukać sprawiedliwości.

MARYCZA: Sam nic nie zrobisz, nieszczę-sny!

ONDRASZEK: Nie sam. Mam do pomocy twarde pięści mych krzywdzonych braci.

MARYCZA: Więc odrzucaś mnie, która jedyną mogłaby cię ochronić — gdzieś dalej dać warunki spokojnego życia.

ONDRASZEK: Nie miałbym nigdy spokoj-nego życia, wiedząc o krzywdach mych bra-ci, wołających o pomstę do nieba.

MARYCZA: Ondraszku! później przeko-nasz się, żeś źle postąpił — rozmyśl sobie to dobrze, jeszcze czas zmienić swe zdanie.

ONDRASZEK: Już zdecydowałem.

MARYCZA: Dobrze! ale pamiętaj, że się to dla ciebie źle skończy. Wiedz o tym, że setka uzbrojonych drabów ze dworu idzie... Właśnie stamtąd przychodzę, by cię ostrzec. (Odcodzi).

ONDRASZEK: Dziękuję!

HANKA: Ondraszku! chociaż serce mi się kraje, lecz nie mogę cię zatrzymać. Idź — pamiętaj o mnie...

ONDRASZEK: Haneczko! (uścisł).

GAJDZIOCZEK: Ondraszku, kiedy ty idziesz, to ja z tobą. Nikogo nie mam na świecie, więc obojętne mi, gdzie kości swe złożę...

ONDRASZEK: Więc chodź jako pierwszy.

JURASZEK: Ja byłem Ondraszku pierw-szy, który sam cię namawiał do tego...

ONDRASZEK: Chodźmy więc razem jako pierwsi bojownicy o sprawiedliwość.

HANKA (ze łzą w oku — spokojnie): Niech wam Bóg poszczęści.

Ondraszek i Juraszek odchodzą. Pozostaje sama Hanka, podchodzi pod ścianę, gdzie wi-si obraz N. P. Marii, kleka i gorąco się modli.

HANKA: Panienko przeczyszta, w pokorze przed Tobą klekam i proszę Cię o Twą wielką łaskę. O spraw, ażeby wszystko udało się mojemu Ondraszkowi, ażeby mógł znowu po-wrócić do tej chaty, gdzie jego rodzice pracowali. O daj, ażeby udało mu się uzyskanie wolności dla nas, tak bardzo doświadczonych przez los. O, daj nam wolność, o daj wolność ludowi i jego ziemi —

Kurtyna.

Gustaw Przeczek

Janina Grodzińska

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ

Urodziłam się na wsi, w powiecie konińskim w roku 1918. Byłam najmłodszą z rodzeństwa. Było nas sześć dziewczynek i jeden chłopak Władek, a siostry miały imio-na: najstarsza Joasia, Aniela, Renka, Zosia, Mania i ja, najmłodsza, Jasia. Gdy ojciec umarł, miałam dwa lata. Rodzice mieszkali na komornem. Ojciec był z zawodu kowa-lem. Na wsi mieszkali, bo liczył na pomoc ro-dziny, a rodzina była dalsza, bo tylko kuzyn-ki i kuzynowie. Byli to gospodarze zamożni. Mieli po trzydzieści, czterdzieści i pięćdzie-siąt morgów ziemi.

Opowiadała rodzina, gdy byłam już więk-sza, że mój dziadek też miał spłatę jak inni bracia, ale zabrał pieniądze i pojechał do Anglii czy do Ameryki i tam pieniądze stracił. Nareszcie wrócił z powrotem do Niemiec i tam się zgodził za lokaja w jakimś dworze. Podobno zbłąkał córke dziedzica, że miała mieć dziecko i oboje uciekli od jej ro-dziny. Podobno nie umiała po polsku mó-wić. Nauczyła się dopiero w Polsce. Nie była zdolna do żadnej roboty, a rodzina ją wy-słaniała, że to niby szlachcianka. Imię jej było Irma. Wzięli ślub w Koninie i mieli dziecięciorgo dzieci. Umarła na suchoty ma-jąc czterdzieści lat. Dziadek zaś ożenił się powtórnie z wdową. Z tych dziecięciorga dzieci mój ojciec był najmłodszym, z zawodu był kowalem. Ożenił się z panną z miasta, dość przystojną i zamożną, która była córką je-go majstra. Ojciec często zaglądał do kieliszka, pieniądze żony przepił. Z tęściem się często czubili. Robić mu się nie chciało i dlatego przeprowadził się na wieś w pobli-że swojej rodziny. Matka ojcu nie pomóc nie chciała, ładnie się ubierała i dlatego mieli dużą biedę. Rodzina też mu dopomóc nie chciała, tylko wciąż czyniła wymówki. Że „niemiecki gatunek, robić mu się nie chce”. Więc u nas nie było lekko. Podobno mojemu ojcu się zapaliła wódka w gardle i umarł gdzieś na drodze.

Po śmierci ojca, matka porozdawała dzieci rodzinie ojca, a sama pojechała podobno gdzieś do dworu na gospodynię. Różnie o niej mówiono, bo miała dopiero dwadzieścia siedem lat, kiedy została wdową i do tego była przystojna. Pamiętam, jak mnie kiedyś odwiedziła na wsi. Przyszła z siostrą Joasią. Była taką panną: — miała suknię jedwabną czarną, świecą, lakierki, duży kapelus, włosy długie, ładnie pod kapeluszem upięte. Joasia powiedziała: „Jasiu, to nasza mama”. Nigdy nie wymówiłam „mama” i bałam się dojeść do tej pani, tylko na nią z boku pa-trzyłam i chciałam wtedy mieć tylko te suk-nie i ten kapelus i być taką ładną jak moja matka, która była ładniejsza od wszystkich ciotek i babek w całej wsi. Od tej pory matki już na oczy długo nie widziałam.

Dwie moje siostry: Joasia i Aniela słu-żyły już w mieście, a my młodsze byłyśmy u rodziny. Ciotka, u której byłam, miała czterdzieści morgów ziemi. Dzieci swoje kształciła. Najstarszy syn był na uniwersytecie i później był profesorem w Poznaniu, a dwie córki po skończeniu gimnazjum po-wychodziły zamożną za urzędników i mieszkały w mieście. Najmłodszy syn został w go-spodarstwie.

Wszystkie moje siostry miały dużą biedę, a ja, najmłodsza, największą. Odwiedziła mnie kiedyś Joasia zimą. Chodziłam w tre-pach na boso nogi, które miałam tak odmro-żone, że były całe pokryte ranami i do tego brudne, bo ran wymyć nie było można. Całe wieczory płakałam na te nogi. Płakałam z bólu i drapałam się po głowie, bo miałam strupy. Gdy siostra to zobaczyła — płakała nade mną i mówiła: „Co ty, masz wszód w tych strupach. Te strupy ci się ruszają. Ja cie tu nie zostawię. Ty pójdziesz ze mną”.

Ciotka się na to chętnie zgodziła. „Przecież ubędzie jednej gęby do jedzenia — powie-działa — tylko zawadza w domu. Latem to jeszcze gęsi popilnuje a teraz zima, to nic z niej nie ma”. Naprawdę zrobiła wezelek z moich łaszków i dała mi stare pończochy po córce, a ja ucieczoną z pończoch, ciotkę w rękę pocałowałam, że chociaż raz będę mia-ła swoje własne pończochy na nogach, a że za duże to się podwinie i w trepach nie bę-dzie widać.

Kiedy przyszliśmy do miasta, było już ciemno. Chętnie by siostra nocowała, bo dzień krótki i śnieg na drodze, ale ciotka była chytra o jedzenie. Rozchodźło jej się o kolację i śniadanie. W drodze obie płakałyśmy sobie. Zmarznięte przyszłyśmy późno, bo w trepach prędko nie mogłam iść.

Państwo już spali. Rano siostra panią po-prosiła, by mi pozwoliła parę dni poleżeć, abym mogła wygoić odmrożone nogi, a o wszach i strupach nie nie mówiła, bo by się brzydziła. Nie bardzo chętnie ale się pani zgodziła, ponieważ się bała by siostra od niej nie odeszła. Miałam bowiem sklep, w któ-rym trzeba było rano pomagać, masło robić, bańki od mleka pomyć, ulicę zamieść, bo stróża nie mieli, podwórko, myć ustępy, a służące z miasta tego robić nie chciały. Przy tym siostra była bardzo pobożna, uczciwa, nikomu nic nie wydała, dlatego ją lubili.

Siostra polała mi głowę sabadylem. Gdy wszy zdechły, smarowała mi głowę szmal-cem i strupy prędko zeszyły. Włosy mi obcię-ła tak, że wyglądałam jak chłopak. Nogi mo-czyłam w kleju, więc mi się prędko goiły. Siostry się poskładały, kupiły mi fartuszek, sukienkę, chustkę i od tej pory zaczęła się moja wędrówka po ludziach. Miałam wtedy lat sześć. W lecie siostry obie wyszły zamaż. Obie razem miały ślub. Joasia umarła przy pierwszym dziecku. Miałą wtedy dziewię-tnaście lat. Aniela trafiła bardzo niedo-brze. Szwagier był stolarzem, robił za cze-ladnika, ale lubił wódkę. W domu były czę-sto hałasy, żonę bił, a ona chodziła na postu-gę. Dzieci im się rodziły co rok.

Na pierwszej służbie byłam za niankę, ale nie byłam długo, bo nie umiałam jeszcze wyprać pieluszek. Poszłam wtedy do Aniel-cy ale szwagier mnie bił i nie dał mi być w domu. Nie mówił inaczej tylko: wot szczeniaku! — Bił mnie, gdzie popadło. Jedne-go razu pobił mnie aż do krwi i wypędził na noc z domu. Całą noc spędziłam na dachu piętrowej komienicy. Ze strachu nawet mi się spać nie chciało, a rano przyjęła mnie do siebie jedna Żydówka na służbę. On był czapnikiem. Szył czapki i jeździł po jarmar-kach, a w domu robili czeladnicy. Było mi tam bardzo dobrze i wesoło ponieważ cze-ladnicy cały dzień śpiewali po żydowsku. Co mi pani kazała, to robiłam: zmywałam, chłerałam kartofle, poszłam do sklepu, no i z dziećmi na spacer do parku. Chodziłam także na naukę katechizmu do kościoła i przysposabiałam się do pierwszej spowie-dzi. W końcu lata zostałam przyjęta do spo-wiedzi. Moja pani mnie bardzo ładnie ubra-ła za radą mojej siostry. Była to bardzo dobra Żydówka. W dzień pierwszej komunii św. nie pozwoliła mi nic robić, tylko się na-jadłam i spacerowałam, ale sama bez dzie-ci. Służyłam tam cztery lata. Zaczęły się bo-wiem śmiać ze mnie panie w parku, że taka młoda dziewczynka żydowskie dzieci niańczy. Wstydziłam się więc tych polskich pań i za ich radą zaczęłam sobie szukać służby. Lecz nie poszło tak prędko. Jak sobie myślałam, bo nasze polskie panie — urzędniczki i nau-czycielowe z odrazą mówiły: „Fe, z takiego domu od czapnika, od takiego gudłaja, obroń mnie Boże, żebym taką służącą żydowską

brała”. Inna pani znów pyta się: „U kogo ty służysz — u polskich czy u Żydów?”. Jak jej powiedziałam u kogo, to słuchać już nie chciała: „Ależ bym się brzydziła takiej ży-dowskiej służki”. I tak w każdym miejscu. Za radą jakiejś pani powiedziałam, że jestem ze wsi no i zgodziła mnie jedna pani.

Nazywała się Łowicka. Jej mąż był urzęd-nikiem w urzędzie skarbowym. Była ona wielką elegantką. Miałą dwa pokoje czyste, ładne, dzieci miały pełno zabawek. Myśla-łam, że wstępuję do nieba po służbie u tej czapnikowej. Ale pani Łowicka nie była aniłem jak ja myślałam. O szóstej rano mnie budziła do sprzątania pokoju i sama usiadła w szlafroku na fotelu i palcem roz-kazywała co robić. Gdy jej się nie podobało — zeskokczyła z fotelu, zlapała ścierkę i za-częła z niej kurz wytrząpywać o moją głowę. Napopychała mnie, napotycała. Z pla-czem ten pokój sprzątałam. Zawsze mówiła: „o ze wsi, to ślamazarnie”. Przy bylejakiej okazji mnie biła. Jeść nie było co. Zawsze chodziłam głodna. Dała mi pół filiżanki ka-wy i pół wody i jedną bułeczkę. Na talerz wlała mi wleper wody a do niej dopiero zu-py. Taka byłam głodna, że jak nie patrzyła, to wszystkie talerze wylizywałam. Przez pa-rę tygodni byłam taka słaba, że mi się ciem-no w oczach robiło, jak chodziłam. Nieraz płakałam tej czapnikowej — ona była taka dobra, dawała mi razem jeść ze swoimi dzieć-mi. Ile razy dawała dziecku ciasteczko, tyle ra-zy i mnie. U pani Łowickiej często bywał ksiądz na kolacji. Na stole były różne smakołyki. Jednego razu dziecko stukło filiżankę od kawy. Zbiła mnie, podrapała i poszczypała mi całą twarz aż do krwi. Wtedy uciekłam, choć się bałam szwagra, bo też był nie lep-szy. Chodziłam wtedy na grób siostry i pla-kałam żeby mnie do siebie zabrała. Nic mnie nie interesowało, tylko chciałam umrzeć. Nareszcie po paru tygodniach tułaczk, strę-czarka nastąpiła mi służbę do bogatych Niemców. Tam mi było nieźle, ale byłam zbyt młoda a robota była ciężka. Były cztery białe podłogi do szorowania, bo był to ich własny dom, a stróżów nie trzymali, tylko robili sami. Trzeba było zamiatać ulicę i po-dwórko, a wszędzie było bardzo czysto jak zwykle u Niemców. Życie było dobre, nało-żyła mi tyle, że nie poradziłam zjeść, to sa-mo co i oni jedli. Pracę mi kazała razem ze swoim, bo lubiła bardzo czysto. Nie było tylko spania i musiałam chodzić w trzecią ulicę do siostry. Latem było dobrze, ale zima, kiedy wieczór był długi, kolacja o siód-mej, za wcześniej było iść spać, więc pani włożyła mi w garnek pierza bym je darła. Do dwunastej było nieraz siedziałam i darłam aż się potem bałam iść tak późno spać. Gdy szłam przez podwórze, to specjalnie puka-łam trepami żeby się odbijało echo i żebym się nie bała. Gdy zastałam w domu szwagra pijanego, to się często stodek odbił o moje plecy.

Jak tam długo byłam, to nie pamiętam, w każdym razie parę lat. Wtedy mogłam sobie już lepiej radzić. Umiałam sobie wyprać i wyprasować i od biedy ugotować.

Przyszła zima. Mrozy i śniegi były duże. Przy odmianiu śniegu i rabaniu rynsztoka koło studni poodmrażałam sobie ręce. Miałam takie wielkie rany, że mnie oddano do szpitala. W szpitalu przeleżałam dwa mie-siące. Po wyjściu ze szpitala, znow się zgo-dziłam do Żydów, ale bogatych. Posiadali kiedyś majątki ziemskie i browar, kiedy to sprzedali, to się sprowadzili do miasta. W mieście mieli swoją dużą kamienicę i je-szcze gdzieś dużo lasów. Wszyscy ich nazy-wali jaśnie państwem. Mieli dwóch synów w Warszawie na uniwersytecie i jedną cór-

kę, pannę Zosię, która studiowała we Wło-szech malarstwo. Stara pani była chora na reumatyzm i mało wychodziła. Ja ją kąpałam, masowałam, byłam więcej przy niej jak przy robocie, bo do roboty najmowano kobie-tę. Pani ta uczyła mnie czytać, pisać, w czasie wakacji i córka. Dawali mi różne książki do czytania. Zabrali mnie do Krynicy nawet, kiedyś do Warszawy na jakąś rodzin-ną uroczystość. Ale w krótkim czasie pani ta umarła, ponieważ była już stara. Po śmierci matki córka oddała mnie do Krako-wa do kuzyna swojego, który tam był leka-rzem. Ach, Kraków! Tym się bardzo cieszy-łam. Tak chciałam dawno do niego jechać, bo już od roku tam była moja siostra w klasztorze. Mało żeśmy się znały, wiem tylko tyle, że było jej na imię Reginka i że służy-ła u ciotki Sylwestrowej. Ciotka ją trochę wyposażyla do tego klasztoru. Z Krakowa Reginka pisywała do mnie często, ale zawsze to samo: „Bądź dobra i uczciwa”. Płaka-łam i całowałam te listy. Teraz na myśl o tym, że będę w Krakowie, serce mi się rwie jak najprędzej ją zobaczyć. Nareszcie jednej niedzieli poszłam do siostr Urszulanek. Ucieszyła się bardzo siostra, a ja znowu pla-kałam, bo nie wierzyłam, że to może być moja siostra. Nawet jej się bałam mówić „ty”, tylko: „proszę siostry”. Powiedziała: „dziecko kochane, ty u Żydów służysz, prze-cież to grzech, nie wolno. Musisz się konie-cznie zmienić”. — Co tu robić, miasta nie znam, służby tak prędko nie dostanę, zresz-tą od Żydów, kto mnie weźmie, tak jak kie-dys w Koninie?

Ale siostra mnie wybawiła z kłopotu. Je-chała na święta jedna internistka do domu, naturalnie do majątku, przyjechała po nią matka i mówił, że potrzebuje młodszej po-kojówki. Wtedy pożegnałam się z moją sio-strą i pojechałam z panną Terenią. Siostra przy pożegnaniu tak mi powiedziała: „Jes-tem bardzo szczęśliwa, niczego mi nie potrze-ba, tylko się martwię o ciebie”.

Byłam w powiecie częstochowskim. Okazało się, że tam były już dwie pokojówki, a ja trzecią młodsza. Był lokaj, kucharka, ku-charz, Dom pierwszorzędną i wymagalną. Dziedzice i dzieci bardzo religijni. Jaśnie pan wszędzie miał ukłony do ziemi i całowanie po rękach, a sam był sztywny, prosty, wszyscy go się bali, a w jego opinii byli wszyscy złośliwie, nygusy, choć robili od wschodu do zachodu. „Mało, mało, darmo-zjadaj, psiakrewn” — tak krzyczał na nich. Jaśnie pani w domu była nie lepsza. Zmie-niała służące co parę tygodni. Na szczęście dworaków było dużo, więc mieli dużo córek, jak nie była jedna, to druga. Tylko lokaj był w łaskach u jaśnie państwa. Niemal każ-da z dziewczyn dworaków próbowała dwor-skiego chleba. Co poniedziałek dostawałyśmy trzy kilo chleba i gospodyni wydawała jakąś tam ilość masła, a jedzenie było co-dziennie jednakowe przez cały rok. Na obiad jednego dnia kapusta, na drugi maślanka do kartofli, a w upały sałata tylko z solą i maślanką i nic więcej od tego nie było, a ko-lacja — kwaśne mleko i kartofle, cały rok. Nic dziwnego, że dziewczuchy, co mogły, to porwały. Czasem im tam kucharz dał co obliżać. Myśmy nosiły jedzenie z kuchni do kredensu. Kredens to jest taki pokój we dworze co się znosi poirawy, a z kredensu dopiero lokaj nalewa do wazy i nakłada na półmiski. Lokaj sam obnosił i podawał po-trawy, ale z wielkim nabożeństwem. Wygi-nał się przy każdej osobie, głowę trzymał nisko nieomal do stołu po każdym podaniu, a jaśnie panią w rączkę całował, nawet i jaś-nie pana pucnął w mankiet pan zaś go za to po ramieniu poklepał i powiedział: „dob-ryś”. W domu były jeszcze dwie jaśnie pa-

nienki i jeden jaśnie panicz, ale ten panicz to było diablińko w ludzkim ciele, panienki były możliwe, zawsze uśmiechnięte, to dawało otuchy do roboty jak się na nie spojrzało. Ale panicz kopał, drapał, pluł na talerz, jak się jadło i zawsze nas przezywał jak mógł najgorzej, aż wstyd to powtarzać. Co się której zdarzyło słuc to zaraz było wytrącone z pensji. Choć by to był najstarszy grat, musiała płacić za nowe. Mnie się zdarzył wypadek gorszy od wszystkich. Poszłam zobaczyć do pieca czy już czas zakreślić. Otworzyłam drzwiczki a tu wylecał kawał węgla i w jednej chwili się rozprysnął na dziesiątki kawałków. Co tu robić? Rękami i nogami zgarniałam w jedno miejsce, na białej podłodze pełno płam czarnych, bo to była podłoga dębowa. Stałam bezradna. Ani mycie już nie pomoże. Całe piekło się wtedy zważyło na mnie, bo nie tylko jaśnie państwo robili krzyk, ale najwięcej panicz i lokaj. Wtedy mnie panicz bił, popychał, pluł, wymyślał od najgorszej, że powinnam w chlewie swiniom sprzątać w kurniku siedzieć, a lokaj złapał się za głowę i latał jak szalony po pokoju: „A to niedorajda, co ona zrobiła, jak to pokój zespecifica”. Ja sama byłam na to głupia co robić. Nie jadłam śniadania, obiadu, ani kolacji, spałam się bardzo. Gdy wszyscy poszli spać, przy pomocy drugiej pokojówki wzięłam się do wiorkowania. Ale cóż z tego — małe dziurki to się dały wywiorkować, a wgłębienia większe pozostały brazowe. Zastawaliśmy, wyszczotkowaliśmy, ale zawsze było znać.

Od wczesnego rana lokaj na mnie patrzeć nie mógł, bo pokój zespecifiony. Po śniadaniu jaśnie panicz zabrał do gabinetu i powiedział: „Cóż z tego, żeście tak wiorkowały? I tak znaki są”. Tak mi było wtedy przykro, że o mało nie popełniłam samobójstwa z tej rozpacz. Dostę mnie kości bolały od wiorkowania a tu jeszcze krzyczą. Po południu wybrałam się na stawy po za ogród z myślą utopienia się. Przecież nikt nie będzie wiedział, gdzie się podziałam. W moim zamiarze przeszkodził mi kucharz, który szedł od strony stawów. Był to już człowiek niemłody. Zagadnął mnie: „Co to we dworze za hałasy były o tę głupią podłogę? Wszystko robi ten Kacper lokaj. On to jest lizus najwściekły, wszystkim radzi a sam najwięcej kradnie. Nikt tak po rączkach nie całuje jak on”. A ja zaczęłam płakać i mu się zwierzyłam ze swego zamiaru. On wtedy bez namysłu wziął mnie za rękę i nawrócił. „Co? o takich burżujów, co z ludzkiej krwi żyją iść się topić? Przecież ty jesteś młoda na takie rzeczy. Dziś służysz tu, a jutro tam. Świąt nie torba, nie zginięsz. Dla ciebie chleba zawsze starczy”. Jakoś mi przełumaczyl i wróciłam z nim razem do dworu. Wynik był taki: potrącono mi dwieście złotych, a brałam na miesiąc piętnaście. Trzeba mi więc było robić trzynaście miesięcy. Wypowiedziałam, że jak karę odrobie, to odejdę. W lecie była jakaś pani z Warszawy na letnisku, umówiłam się z nią, dała mi na drogę i pojechałam do niej do Warszawy. Było to na Koszykowej. Ten pan był adwokatem. Okazało się potem, że on prowadził jakąś sprawę temu dziedzicowi i z tej okazji żona była prozono na miesięczny pobyt z anemicznym synem na powietrzu wiejskim.

Pani adwokato była dobra. Umiałam już wtedy wyprać, wyprasować, ładnie nakryć i podać do stołu, bo przecież widziałam jak lokaj to wszystko robił. Państwo adwokaci mieli często gości. Byli tam adwokaci, sędziowie. Przychodzili na karty i bilard. Miałam nawet trochę dochodów, ale pan mecenas za dużo lubił dziewczyski, no i ja od niego nie miałam nigdy spokoju, do tego stopnia, że zmuszona byłam odejść. Obiecywał mi różności ażeby pani nie wiedziała. A mnie cóż by znowu z takiego adwokata przyszło, choćbym się nawet z nim znała? Unieszczęśliwiłby mnie tylko w życiu. Pani też nie nie powiedziałam, podziękowałam jej tylko i odeszłam. Myślałam, że po paru dniach dostanę jakieś zajęcie, ale się pomyliłam. Nie tak łatwo było w Warszawie co dostać bez świadectw i to jeszcze na początek lata, gdy panie wyjeżdżają na letnisko i służbę zwalniali. Użyłam wtedy głodu i chłodu. Nie tylko straciłam wszystkie oszczędności, ale zaczęłam sprzedawać swoje łaski. Bez litości brały baby po pięć zł. za jedną noc, do tego w pluskwach i w robactwie. Sypiałam gdzieś na Starym Mieście, a gdy nie miałam czym płacić, to wtedy spałam na stopniach kościoła św. Aleksandra. Zimno było bardzo, choć był to początek czerwca, w nocy na kamieniach... Długo w noc spacerowałam po Alejach Ujazdowskich, a potem głodna, zmęczona szłam pod kościół i znowu rano to samo latanie po bfiurach, stręczarkach. Sił brakowało do chodzenia. Buły mi się podarły. Dowiedziałam się, że istnieje biuro ochrony nad dziewczętami gdzieś na Mazowieckiej. Poszłam tam. Owszem, woźna mnie informuje, że tu się płaci pięćdziesiąt groszy za nocleg i rano czarna kawa kosztuje pięć groszy, a skąd tu brać te pięćdziesiąt pięć groszy dziennie? Sprzedałam ostatnią swoją suknię za trzy złote. Starczy na parę dni. Tam też przespałam parę nocy, a skąd tu brać pieniędzy na dalej? Coraz więcej głowa mnie boli i jestem słaba. Bielizna brudna zaczyna mnie swędzić. Pani kierowniczka oznajmiła mi, że śpię darmo dwie noce i rano kawy nie dostanę. Wieczorem mnie woźna nie wpuściła. Spałam pode drzwiami biura, ale nie tylko ja sama tam spałam bo spało nas tam więcej, a nawet jedna otuła się jodyną na schodach. Narobiła w nocy krzyku, wszystkich pobudziła i zabrała ją do szpitala. Gdybym miała na jodynę, to bym to samo zrobiła.

Ala ze mną też coraz gorzej. Mimo upałów zimno mi jest i jeść mi się chce. Poszłam ze wstydem puknąć do drzwi i prosić o kawałek chleba. Jakaś stara kucharka dała mi bułkę z masłem, ale z osłabienia czy radości zjeść

jej nie mogłam i podzieliłam się z drugą. Noc przespałam znowu na schodach. Rano chodząc wcale nie mogłam. Poszłam z Mazowieckiej na Chmielną, zapukałam o co do zjedzenia, ale jakaś pani z krzykiem: „Co to, dzisiaj niedziela. Taka młoda nie wstydzi się prosić. A do roboty się wziąć, a nycy”. Usiadłam w tej sieni na progu. Siedzę, w głowie mi się kołuje, wychodzi dozorca i wyganiam mnie, że przyszedłam na przegląd i potem co ukraść. Ja go proszę żeby mi dał coś do napicia, a on na mnie z pyskiem: „Wont ze sieni! Udać chore, aby się litować. Znamy was”. Wygnał mnie ze sieni. Poszłam ulicą Zielną i obok w budce poprosiłam o trochę wody. Sprzedawca dał mi. Wypiłam i poszłam z powrotem w stronę dworca, ale tak mi się zrobiło słabo po tej wodzie, że weszłam do sieni i zwymiotowałam, a potem usiadłam na stopniach koło dworca i siedziałam. Wieczorem zrobiło mi się cieplej, weselej i usnęłam w sieni na Marszałkowskiej, obok dworca. Miałam wtedy bardzo przyjemne sny, przede wszystkim, że byłam bardzo najedzona. Jak się obudziłam, to leżałam w zakaźnym szpitalu. Byłam chora na tyfus i zapalenie płuc. Po ośmiu tygodniach wypisano mnie ze szpitala. Nie miałam się w co ubrać. Co tu robić? Idę pomału w stronę Łowicza. Słaba byłam, że ledwie szłam. Były to początki sierpnia. Pełne sady owoców, ale przecież jeść się bałam. Ludzie na ogół obojętni na czyjąś biedę. Gdy prosiłam o coś do jedzenia, to jedna osoba dała, a pięć nie. Leżałam całymi godzinami po rowach. W pierwszy dzień uszłam pięć kilometrów, w drugi trochę więcej. W każdym razie do Błonia szłam trzy i pół dnia. Szłam bosko bo na nogi nic nie miałam, ani nawet chustki na głowę. Włosy mi powychodziły, słońce głowę paliło, oczy poczerwieniały od płaczu, pić... Gdybym miała herbatę, to bym wypila z garniec. Na jedzenie miałam taki apetyt, że wydawało mi się, że gdybym miała to bym zjadła kilo chleba na raz. Skreśliłam z szosy w bok. Może zdala od szosy ludzie będą lepsi. Ale gdzieś tam. Niekiedy mnie poczytywali za nienormalną, a to było najboleśniejsze, że się wszędzie bali, czy co nie ukradnę. Skreśliłam w stronę jakiegoś dworu, który stał w parku jak w lesie. Idę jak po zbawieniu. Napewno się tam napiję trochę herbaty i co zjem. Otóż i dwór. Ale gdzie tu wejść? Przy każdej bramie i furtce tablica: „Wejście wzbronione. Zie psy”. Okręcam zdala przez podwórkę folwarczną. Wszędzie widzę ludzi, a psów nigdzie. Widzę zdala koło dworu rwie różę jakaś dostojna pani. Widać zaraz, że to dziedziczka. Podchodzę bliżej, proszę ją o trochę herbaty, bo mam takie pragnienie i jestem po chorobie. A ona do mnie: „Co herbaty? A skaranie boskie z tymi włóczęgami. Osmieła się wolać herbaty, a może tortu lub czekoladki byś zawołała jeszcze? Co ci się zachciewa? Okropność, okropność”.

Wnęć ja zawróciłam, ale ona woła: „Wróć się, wróć jeno”. Wyjechałam przez rekawiczkę z kieszeni pięć groszy i mi daje, a ja na to: „Dziękuję, ja pieniędzy nie chcę, tylko co się napić i zjeść”. — „Dla twojej przyjemności nie pójdę teraz do kuchni kazać gotować. Mają teraz co innego do roboty, przed chwilą był podwieczorek”. Ja na to: „Dowidzenia, żeby pani na to przyszło co mnie. Piszą wszędzie, że zle psy, a tu dziedziczka są złymi psami”.

Potem szłam powoli, aż zaszłam do jakiegoś lasu. Był to ładny, duży stary las. Rosły w nim nawet grzyby. Miło, ciepło, ptaszki śpiewają. Cóż mi z tego, kiedy ja idę bez siły i głodna. Usiadłam na trawie przy drodze, pod drzewem i usnęłam. Spałam dość długo. Ktoś mnie budzi. Patrzę jakiś pan ze strzelbą stoi obok mnie. Na drodze stoi bryczka

zaprzężona w jednego konia. Okazuje się, że to pan leśniczy. Blisko był wieczór, więc jechał do domu. Zobaczył śpiącą, nieznana w tych stronach. Obudził mnie i pyta: „Skąd to panienka idzie”? A ja mówię: „Z Warszawy, proszę pana”. „Z Warszawy?” — zdziwiony — i dokąd? A ja mu odpowiadam: „Do Konina”. Zdziwiony był, że idę boczną drogą, przecież na szosie by kto podwiózł. Powiedziałam mu wtedy, że idę ze szpitala i nie mam pieniędzy na kolej. Popatrzył na mnie zdziwiony i powiedział: „Proszę wejść na bryczkę, podwiezę kawałek”. Kiedy byłam na bryczce pytam go się, dokąd jedzie, a on odpowiada, że do domu. Zajechaliśmy do leśniczówki. Był to bardzo ładny dom. Leśniczy miał ładną młodą żonę, małe dziecko i służbę. Powiedział do żony: Przywiozłem ci do pomocy. Żona była zdziwiona: „Do jakiej pomocy?” pyta go. Opowiedział jej dopiero, że mnie zastał śpiącą pod drzewem i to pewno z wycieńczenia. Naradzili się oboje, że u nich jakiś czas zostanie, aż wydobrzeje. Wypoczywałam tam dwa tygodnie. Życie dobre mi dawali. Miałam dużo mleka do picia. Czasem się tylko z dzieckiem pobawiłam i leżałam na werandzie. Po lesie przeszedłam się czasem. Przez dwa tygodnie doskonale wydobrzałam, bo mi niczego nie żałowali i to oboje, bo byli bardzo dobrzy, a przede wszystkim mną się nie brzydili.

Na drogę dostałam stare pantofle, aby nie iść bosko, chusteczkę na głowę, żeby mnie słońce nie paliło, chleba z masłem i z serem, trochę cukru w papierku i dziesięć złotych. Leśniczy wybierał się za interesem do Łowicza i mnie ze sobą zabrał. Było to już pod koniec sierpnia. Dni coraz krótsze, choć jeszcze upalne. Z Łowicza udałam się do Kutna szosa. Byłam wesoła, bo miałam dziesięć złotych, a dla mnie to było bogactwo.

Pomału zaszłam do Koła. A z Koła do Konina. Różne miałam po drodze noclegi: spałam na sianie, na słomie, w stodole, na górach, a w mieszkaniu nigdzie. Bałam się bardzo myszów, ale jakoś mnie nie zjadły, chociaż po mnie latały.

W Koninie poszłam do siostry. Miałam jeszcze pięć złotych, które siostrze oddałam, gdyż u niej było 6 drobnych dzieci, a sama chodziła na posługę. Szwagier nadal pije i bije siostrę. Parę dni było dobrze, ale jak szwagier przyszedł pijany, to znów był hałas i dalej na mnie wyzywał: „Co ten szczeniaki tu robi tak długo? Czemu do roboty się żadnej nie bierze? Z pewnością gdyby dobra, to by siedziała, a nie latała tak”. Bardzo mi było przykro bo nie miałam gdzie iść. Siostra to odczuwała, ale mi, nie pomóc nie mogła.

Służyła gdzieś jeszcze starsza ode mnie siostra, ale gdzieś koło Zagórowa, więc się tam do niej wybrałam, bo siostra Zosia i Władek pojechali w tym czasie do Francji i do nikogo nie pisali. Udałam się więc do Mani. Po drodze wstąpiłam do jednej ciotki, która już była na wycugu. Zaraz mi powiedziała, że u niej nie będę mogła być, bo u niej nic nie ma do roboty, najwyżej u jej córki Stasi mogłabym kopać kartofle. Okazało się, że do kopania kartofli nie miałam siły po swojej chorobie. Nawymawiali mi dosyć, że jestem niezdara. Robiłam przez kopanie w domu. Nosłam podwieczorek w pole. Wszędzie mi docinano: „Co to miasto z niej zrobiło. Ani do roboty teraz, ani do niczego. To małczyśko jej też tak gdzieś wyjechało i dzieciaki są bez domu”. Skończyło się kopanie. Nie byłam już im teraz potrzebna, jak mówiła ciotka: „Już żeś nie dziecko, dasz sobie radę, u mnie roboty nie ma. Tako dużo dzioucha wszędzie robotę znajdzie”. Mieli jeszcze do kopania buraki, ale robiło się coraz zimniej, a ja nie miałam ciepłego ubrania, więc byłam zmuszona

iść do Marysi. Od ciotki do niej było około dwudziestu kilometrów. Siostra służyła u obcych. Kartofle późno sadzone nie były jeszcze wykopane. Co mogłam to pomagałam robić i chodziłam w ubraniu siostry. Przy burakach pomagałam, a nawet po namyśle zostawiłam mnie u siebie, bo roboty było dużo na całą zimę. Było pierze do darcia. Scho-dziły się dziewczęta i chłopcy całe wieczory, a po skończeniu darcia był „pierzok”.

Przyszła wiosna. Zaczęła się robota w polu i w ogrodzie, to ja się przydałam. Na Wielkanoc siostra wyszła za mąż, a ja zostałam na jej miejscu. Siostra wyszła za mąż za jakiegoś gospodarza spod Częstochowy. Poznaliśmy się jak był w wojsku i przyjeżdżał na wieś po paszę dla koni. Gospodyni troszkę im do wesela dopomogła. Wesele odbyło się u gospodyni. Po ślubie zabrał ją do siebie. Potem ja zostałam sama. Byłam przez lato i zimą. Zimą mnie zaczęli też swatać. Był w drugiej wsi chłopak, sierota bez ojca i matki. Zwali go wszyscy w okolicy znajdką, bo podobno matka jego była panna i umarła jak on był malutki. Jego wychowywali ludzie. Każdy po trochu. Znany był na okolicę, bo grał na skrzypcach i na wesela go wszędzie brali. Mówiono mi, że jest bardzo robotny, uczciwy, cichy. Ja też sobie pomyślałam, że to będzie w sam raz dla mnie. Najwięcej się cieszyłam, że na skrzypcach gra. Ale trzeba było czekać, aż sobie usypię pierzynę i co nieco kupię. Potem zrobiła mi gospodyni wesele. Zamieszkaliśmy obok gospodarzów, ze starym dziadkiem co był na wycugu. Trochę sobie grałów kupiłam i cieszyłam się, że jestem już nareszcie na swoim, choć nadal chodziłam do gospodyni do roboty. Mąż też chodził do roboty, oprócz tego często grał gdzieś na weselu lub zabawie i miał z tego parę złotych. Zaczęliśmy sobie kupować trochę ubrania i różne rzeczy potrzebne do domu. Bardzośmy się zgadzali. Nareszcie doczekałam się chrzcina. Miałam córkę. Gdy wyszłam ze szpitala, w którym leżałam trzy miesiące, zrobiliśmy chrzciny. Dziecku daliśmy imię Barbara.

Słyszymy, że będzie wojna. Przyszły zniwa, a przy nich śpieszą się wszyscy, bo będzie wojna. Gospodarze zakopują zboże w beczkach. Zaczęliśmy też się pakować, ale gdzie? tam gdzie wszyscy: do Warszawy. Trzeciego września wzięliśmy pierzynę i dziecko z wózkami. Pchamy, ciągniemy na zmianę, aby ująć przed Niemcami. Ale setki uciekinierów podzielać jeden los. Gorączka niemiłosierna, trudno upchać to wszystko. Nareszcie Niemcy bombardują Kutno. Jak tu się dostać do Warszawy. Strzały, ognie na kolicę. Wracamy z powrotem. Zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi. Było nas ponad dwieście osób wracających, śpiemy w stodole. Samoloty bombardują. Kobiety uderzają w płacz. Co odważniejsi wychodzą za stodołę w pole zobaczyć co się dzieje, a tu odłamki ludzi ranią i zabijają. Z naszej stodoły zabiło sześciu chłopów. Czterech na śmierć, a dwóch po paru godzinach zmarło. Wśród tych zabitych znajdował się mój mąż.

O grozo, jak ci zabici wyglądali. Byli cał czarni. Nie było rady innej tylko chłopów chować i wracać w swoje strony. Wykopali jeden duży dół na polu i odbył się wspólny pogrzeb. Wracając do domu nie miałam pewności czy nasze strony nie są spalone. W tej niepewności wracałam. Ale było mi za ciężko i niejedno musiałam po drodze rzucić po prostu na ziemię. Po dwóch tygodniach wróciłam pod Zagórow. U nas było cicho i spokojnie, tylko mężczyźni pouciekali i po trochu wracali. Mój dziadek nigdzie nie uciekał.

Zaczęło się kopanie kartofli. Ja chodziłam do roboty a dziadus mi pilnował dziecka. Na wiosnę dziadus umarł. Córce jego potrzebne było to mieszkanie, więc mnie przyjął z powrotem ta sama gospodyni u której służyłam. Byłam u niej do czasu wysiedlenia. Wyszli nas razem w stronę piaszczyste po Niemcach w okolicy Kalisza. Wieś nazywała się Prażuchy powiat Kalisz. Blisko były lasy i szosa do Kalisza. U tej gospodyni już nie służyłam, bo ona sama chodziła do roboty, ale mieszkaliśmy razem, a ja chodziłam do okolicznych bauerów do roboty. Żeby nie dziecko, byli by mnie wysłali Niemcy na przymusowe roboty, tylko mnie broniło małe dziecko.

W czasie pobytu na Prażuchach zgłosiła się do mnie moja matka. Przywieźli ją podwójną chorą na reumatyzm i na zapalenie stawów. Do przytulku jej nie chcieli przyjąć, mówiąc, że ma córki. Przed tym była w Koninie u siostry, jako niezdolna do pracy, ale szwagier przyjął po babce volksdeutschostwo, po naszej babce, która była rodem Niemką. Czterech synów siostrze wzięli do wojska, córki też tam miały jakieś posady, ale szwagier nie chciał mieć ciężaru z teściowej. W gminie wiedzieli, gdzie nas wysiedlili i do mnie ją przysłali. Cóż miałam robić, nie przyjąć? Choćbym nie chciała, to musiałam. Ale się bardzo zmieniła moja matka, o ile sobie przypominam ją kiedyś taką przystojną. Chociaż teraz też nie była stara, miała dopiero pięćdziesiąt parę lat, a już była niezdolna do pracy. Leżała tylko na łóżku i zawsze się modliła. Nie tylko w dzień, ale i w nocy odmawiała różaniec i śpiewała różne nabożne pieśni. Tak bez przerwy szeptała pacierze, że nie można się było z nią dogadać. Umarła u mnie przed samym przyściem so-wieckich wojsk na zapalenie płuc. Nie było lekarza na wsi.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich, kiedy wszyscy wracali w swoje strony, pracowałam u restauratora w Cekowie, więc też i w tej wsi pozostałam. Naturalnie u innego gospodarza. Po wojnie syn tego gospodarza założył sobie w Kaliszu restaurację, a ja przyjechałam z nim do Kalisza. Obecnie mieszkam z jedną panią. Dziecko chodzi do szkoły, a ja do roboty na cały dzień.

Janina Grodzińska

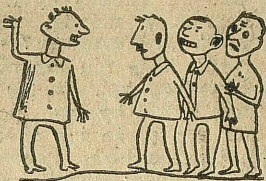
T. O. R. TECHNICZNA OBSŁUGA ROLNICTWA P. P.

wykonuje we własnych
warsztatach wszelkiego
rodzaju remonty
TRAKTORÓW
i
MASZYN
ROLNICZYCH
Remonty wykonywane są
szybko, tanio i sprawnie

14 Warsztatów Okręgowych
106 Warsztatów Rejonowych

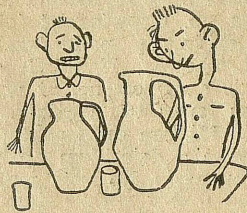
○ Rytwianach felieton rymarski

Wreszcie już koniec tej podróży.
Stoją w koszulach ministrowie —
Nieznane jeszcze ich imiona
Wójtowi który czoło chmurzy,
Gdyż uroczystą mowę powie.

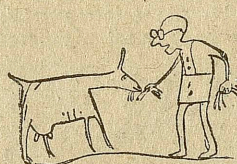
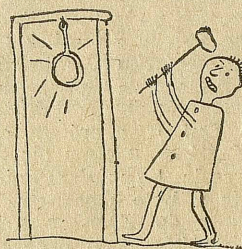


Tu cisza w lasy zadrzewiona,
A dookoła stały stawy
I amorficzny szemrał strumyk,
Gdzie się pływackie działały sprawy
I stał tatarak pełen zdumień.

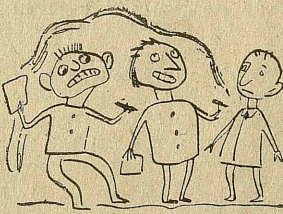
Oto jest sala, co od rana
W uczonych wielce tonie sporach.
Pisarze wodę ciągną z dzbana
I grzmia w zapale do wieczora:
Iż bywa proza amorficzna,
Poezja me-ta-fo-rys-tycz-na.
Mówię bom smutny, bom wstał z rana
Pauza, zaczerpnę wody z dzbana



Gdy Chróścielewski w gong uderza,
Zasiada sprawnie cała sala.
Zółkiewski model wnet obala,
A Grad mu nieco nie dowierza.
I wnet o głos składają wnioski
Łakomy, Jucha, Wojciechowski
I nasz orator Ożarówski
(Bubiec o głos się nie chce ubiec)
Ale Skwarczyński daje znak
I wnet strach zimny nas przejmując:
Czy „wicher różgi brzoź rysuje“?
Czuła rzekł: nie! a Frasił: tak!
Aż tu Skwarczyński daje znak,
Lecz temu ważkie słowo przerwie
Stopezyk, co w wielkiej skoczny werwie
I opowiada nam przejęty,
Że ongiś, Stopezyk, chciał być święty
I by pokorą przejąć świat
Żył, Stopezyk, z kozą za pan brat.
I oto Król syntetyzuje
A Sobierajski sekunduje
(Kamieńskiej głosu nie słyszałem,
Acz bardzo pilnie uważałem)
Łoża szydereów śledzi gąfy
Pogan rozda je autografy,
(Taką już bowiem ma naturę)
Próżno szukałem Piotra Chmurę.



Chłopski pisarzu nie patrz w kąty!
Siedzą w nich tacy dwaj malarze,
Co czynią z twarzy dwie potwarze.

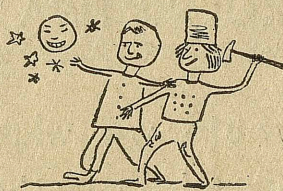


Pogan już podpis dwieście piątą
Położył. Mocno wyschło w dzbanie.
Kogoś brak w sali... Zmieniam watek.

Każes Jęńku, ukochanie?

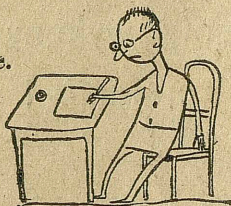
Cuda na ziemi, bo już księżyc
„Szerokoćśną“ „grapą“ spadł
I kiedy bardzo wzrok natęży
Kubinieć — Nędza — górski chwyt
Ujrzy, aż skacze zbójnickiego
Księżyc.

Dziwniejszy jest od tego
Fakt, iż te hece — cudów podaż
Widział tak samo nasz gospodarz,
Gdy siedł z tym Nędzą za pan brat
I niezbyt pewnie stopy kładł...

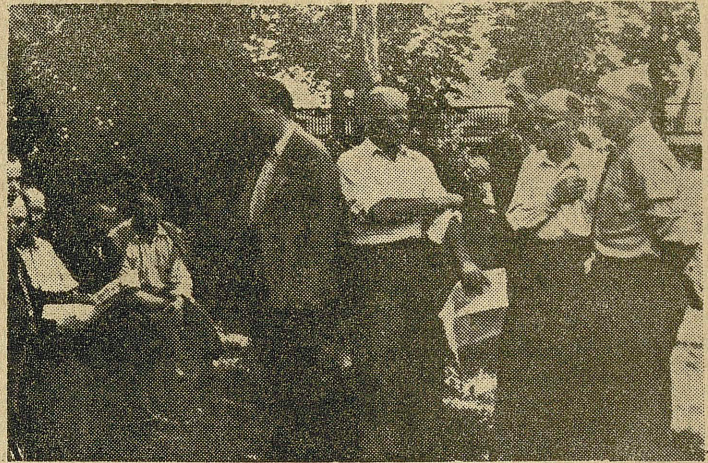


I oto Król syntetyzuje,
A Sobierajski sekunduje,
Tam byłem, wody nieco piłem
I niezbyt pilnie uważałem
L... głos Kamieńskiej usłyszałem.

Godzina przyszła miękka, siwa
Na siwych szybach Łódź odpływa,
Do Rytwian łzawą myślą zmierzam,
W rytwiański tłuczekiem gong uderzam,
Do „Wsi“ zaszedłem — biurka w rzędzie
Przy „wiejskich“ biurkach głucho wszędzie.
Bo oto Król nam podróżyje,
A Sobierajski sekunduje
Kamieńskiej szkic mój nie po myśli:
Co najpiękniejsze zdania kryśli,
Z żalu ten wierszyk arecypieski
sklecił



Tadeusz Chróścielewski



Redaktor „Wsi” J. A. Król i redaktor „Chłopskiej Drogi”
Czesław Skonieczki wśród uczestników zjazdu.

Józef Kapuściński

PORYTWIAŃSKIE ROZMYŚLANIA

Skupienie grupy pisarzy chłopskich w Polsce jest wielkim sukcesem tygodnika „Wiś”. Ponieważ tej sprawie patronuje Ministerstwo Kultury i Sztuki, jemu też należy się uznanie już nie tylko od samych pisarzy chłopskich, od Redakcji „Wsi”, czy od Samopomocy Chłopskiej, ale od całego ludu, od szerokich i licznych rzesz chłopskich. W chłopie uznano wreszcie pełnowartościowego obywatela, otwarto dla niego na oścież drzwi do kultury i sztuki, do wiedzy i równości z innymi w kraju. Za czasów zaborczych wszelkie objawy samowiedzy stanowej chłopskiej tłumiono siłą. Rzadko kiedy znalazł się szlachcic czy inteligent — chłopoman, który podawał chłopu rękę, aby iść z nim razem, dopomóc i poradzić w potrzebie. Wiemy, co przeżywał Deceński za to, że pragnął się uczyć, że miał większy talent do pióra, jak do wiader i gnojku. Nikt nie zajął się poetą Szarkiem, tylko Kraszewski, który go zabrał ze sobą na uroczystości narodowe do Krakowa, ale i tam Szarek doznał zawodu. Nikt nie zajął się Brzegą, Rakiem, Suleją, Nockiem, Kurasiem czy Jantkiem z Bugaja. Tu i ówdzie proboszcz, nauczyciel pożyczyl książkę, gazetę czy też wprowadził chłopca samouka w nowy świat, ale to było za mało. Nie mam tyle pretensji do innych, ile do samych chłopów, którzy sta. li swego czasu na pewnym szczeblu społeczeństwa. Biedny Kuraś, otrzymał za swoje prace uznanie w formie zagrody, jako dar narodowy. Ale sprawą tą zajął się hrabia Tarnowski i sekretarz Kolasinski, nie chłopci oświeceni. Jantek z Bugaja nie miał takich opiekunów i nie dostał, borykał się ze swoim losem aż do śmierci. A choć Zegadłowicz zainteresował się nim i obiecał pomoc, to jednak naraził tylko autora na stratę jego cennych rękopisów. A przecież był to okres, kiedy premierem był chłop — Witos, kiedy wśród postów byli pisarze chłopcy jak Bojko Wiącek, działacze jak Stolarski, Średniawski i szereg innych. Zapomnieli o swoich braciach. Po śmierci Rząd dał Kurasowi order, ale za życia nikt się nie zajął tym chłopem-pisarzem aby jego owocną i tak ofiarną dla Ojczyzny pracę pod zaborem nagrodzić. Zalił się swego czasu Jantek z Bugaja na Bojkę o to, że nie przyszedł mu z pomocą w ciężkiej chwili i żalił się słusznie, bo jako poseł mógł coś wykołatać w formie zapomogi czy choćby rady.

Gdy swego czasu ogłosiłem pierwszą odezwę do pisarzy chłopów o materiał do Antologii, to prócz szlachecko-mieszczańskiej „Roli” nikt tej odezwy nie zamieścił. Kiedy też już dawno później, bo w wolnej Ojczyźnie, w okresie największego rozwoju stronnictw ludowych i czasopiśm, ogłosiłem odezwę w sprawie założenia Towarzystwa Literatury Ludowej i choć rozpisalem mnóstwo listów do różnych wielkości, do ludowych gazet, oprócz mieszczańskiej „Twórczości” zamieściła odezwę tylko „Gazeta Grudziądzka” — ale na tę odezwę i listy moje nikt nie odpowiedział. Sprawa utworzenia Towarzystwa Literatów Ludowych poszła poprzez ręce warszawskiej „Twórczości” do wileńskiego „Lirnika” i zatrzymała się w Towarzystwie Mesjanistów w Katowicach. — Ale żadne stronnictwo ludowe, żadna redakcja, żaden klub poselski, których było tyle, nie ruszył konceptem nad tym zagadnieniem. Kiedy zbliżało się 30. rocznica pracy pisarskiej Jantka z Bugaja, ówczesny redaktor „Piasta” i Witos, zrobili pewną nadzieję i jakby obietnicę temu chłopu-poecie, że „coś” w tym czasie dla niego zrobią. Chodziło tylko o to, aby ktoś napisał odezwę do „Piasta”. Wybór padł na mnie.

W liście swoim z dnia 31.III 1929 roku pisałem do mnie Jantek, abym napisał na ten temat i podaje szereg bliższych danych o sobie. Nie zwlekając ani chwili, siadłem do stołu i tego samego wieczoru — do 1-szej po północy pisałem płomienną odezwę i posłałem listem poleconym do redakcji „Piasta”. — Odezwa ta nie została wydrukowana. — Zapomniałem o to się upominać i czekałem na zaproszenie od Jantka na uroczystość jubileuszową. Tymczasem w parę dni po Bożym Narodzeniu, a zatem równo za dziesięć miesięcy otrzymałem list w którym dziękując za pamięć i życzenia świąteczne, współczując nad zgonem Kurasia, opisując swoje niedole, przy końcu listu pytało, czy list z marca otrzymałem i czy coś na jego temat napisałem. — Oto jak wyglądała sprawa uczczenia tego chłopca w wol.

nej Ojczyźnie. Nic dziwnego, że sprawa tak ogólna jak Towarzystwo Literatów Ludowych także nie „chwyciła”. Na list mój w tej sprawie skierowany do Bojki otrzymałem odpowiedź z dnia 7.5.47 r. Piszę mi, że „ani jednej prośby, mimo chęci załatwić nie może”. Potem literaci ludowi znaleźli się dzięki tylko incjatywie poety Fr. Lipińskiego w Związku „Promienistych” i to na krótki czas, bo znowu zabrakło pieniędzy, opieki i wszystkiego tego, co do życia Towarzystwa potrzebne. Wkońcu widząc, że nasza sprawa i nasze skromne osoby, mają być pionkami w jakiejś rozgrywce polityczno-osobistej, gdyż i Tow. „Rozwój” chwyciło się tej roboty, zamierzam szukać innych dróg wyjścia. Pisałem później do „Rolnika Wielkopolskiego” w Poznaniu o tym i miałem wkońcu pewne obietnice na ten temat. Dalszym poczynaniem zaskodziła wojna, która zburzyła to, co dotąd było z takim trudem sklecone.

Pierwszego zjazdu Pisarzy Ludowych po wojnie nie mogłem oglądać, gdyż byłem wówczas odgródzony od niego chińskim murem, ale w zjeździe w Rytwianach brałem udział i z przyjemnością mogę stwierdzić, że o takim zjeździe nawet nie marzyłem pisząc swoje pierwsze odezwy. Aby na zjazd pisarzy chłopskich przybyli ministrowie, ludzie nauki i działacze stojący na czele organizacji społecznych, o tym nie śniłem.

Aby pisarze chłopscy zostali w przemówieniu Ministra Kultury i Sztuki imiennie wyróżnieni, tego jeszcze nie było. Aby Ministerstwo Kultury i Sztuki uczciło pracę chłopów — pisarzy subwencją państwową — to najlepszy dowód, że chłopski pisarz uważany jest za pełnowartościowego człowieka, choć wskutek braku systematycznej nauki nie mógł stać w pierwszym szeregu. Jak doszło do mojej pierwszej myśli zjednoczenia pisarzy chłopskich do zjazdu w Rytwianach — pozwolę sobie napisać obszernie w osobnym szkicu, który myślę, że znajdzie wydawcę choćby w naszym Związku Samopomocy Chłopskiej. — Tego co działo się na tyłu drogach krętych, na tyłu ścieżkach ciernistych, od wsi Łyśniki poprzez zaułki Warszawy, Wilna, Krakowa, Łodzi, Katowic, nim wyszło na tę sandomierską „drogę przez wieś” do pałacu Samopomocy Chłopskiej w dawnym dworze Radziwiłłów w Rytwianach, pominąć milczeniem nie można. Bo pisarz chłopski to rzecznik chłopskich mas, to nie poseł wybrany z pewnego okręgu na lat kilka, ale to poseł „namaszczonej” do reprezentowania tych mas zawsze i wszędzie. Tak być powinno pojęcie stanowisko chłopskiego pisarza. Jeszcze nasza grupa pisarska nie ma takiej „marki”, jak np. jakieś towarzystwo sportowe — bo to jest naprawdę rzecz nowa. Czuję się dumny w Rytwianach, kiedy znalazłem się w takiej dużej gromadzie. Tam przekonałem się poraż może setny, że „gromada — to wielki człowiek”.

Od Redakcji. W związku z ogłoszonym przez nas apelem do naszych Czytelników o przysłanie starych roczników czasopiśm ludowych, kalendarzy itp. do organizującego się przy redakcji ośrodka badań kultury wsi, wprowadzamy rubrykę pokwitowań z odbioru przesłanych nam pism i książek.

POKWITOWANIE
Maciej Czula (Brzesko Nowe). Kwituje odbiór rocznika „Piasta” z 1915 r.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopomocy Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wiś”. Łódź, Piotrkowska 133 II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D-017791